Szczecin--studia

Po zdaniu matury w 1949 r. trzeba było pomyśleć o studiach. Dotychczas nie miałem sprecyzowanych planów. Jeżeli myślałem o różnych kierunkach to nie były rozważane ani politechnika, ani medycyna. Z najbliższych studiowało tylko dwóch ciotecznych braci: Adam Kapecki w Akademii Handlowej w Szczecinie (dlaczego tak daleko od domu wyjaśnię później) i Stanisław Szyduczyński prawo w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pociągała mnie raczej Akademia w Szczecinie- wg moich przewidywań zapewniająca wspaniałą, nietypową pracę w obsłudze handlu zagranicznego. A także i to, że nie było tam, jak w uczeniach państwowych, limitów przyjęć- uczelnia była prywatna- Związku Kupców Polskich. Było wielu, którzy tak samo myśleli- przyjęto na pierwszy rok około 800 chętnych. Złożyłem podanie o przyjęcie w poczet studentów szczecińskiej uczelni i wymagane dokumenty.

Tuż po maturze musiałem jednak odsłużyć dwa miesiące w paramilitarnej organizacji „Służba Polsce". Były to popłuczyny po przedwojennym systemie przygotowania obronnego i oswajania z ewentualną służbą wojskową w tzw. Hufcach Junaków. W pierwszych latach po pierwszej wojnie światowej wszyscy mężczyźni po ukończeniu Liceum, lub równorzędnej szkoły np. Seminarium Nauczycielskiego, zdolni do służby wojskowej, szli obowiązkowo na rok do podchorążówki, którą kończyli w stopniu podporucznika. W późniejszych latach, kiedy powstały już szkoły oficerskie, absolwenci średnich szkół musieli dwa miesiące odsłużyć w/w Hufcach.

Po drugiej wojnie światowej do Liceów wprowadzono przedmiot „Przygotowanie Obronne", w ramach którego odbywaliśmy, pod dowództwem przydzielonego do szkoły oficera, różne zajęcia teoretyczne oraz praktyczne w postaci zbiórek, marszów itp. Zajęcia te wykonywaliśmy z przymrużeniem oka i niezbyt serio, a także ze złośliwością pod adresem prowadzącego oficera. Żaden z nich nie mógł sobie poradzić z grupą 42 uczniów, nieraz dorosłych mężczyzn w skutek opóźnień wojennych. W naszej klasie było np. dwóch absolwentów szkoły młodszych dowódców Armii Krajowej- Henryk Cichocki i Zbigniew Chałupka. Traktowaliśmy te zajęcia, jako niepotrzebne i wprost głupie. Tym bardziej, że poziom intelektualny i językowy oficerów był niski, często niższy od podległych mu uczniów. Natomiast mniemanie oficerów o sobie i o ważności przedmiotu było wysokie. Stąd targi o zakres zajęć, nasze ironiczne uwagi, niestaranne wykonywanie poleceń itd.

Krążyła złośliwie opowiadana anegdota o pewnym rzekomo prawdziwym zdarzeniu. Przy wykonywaniu jakiegoś trudnego ćwiczenia fizycznego w terenie dziewczyny z liceum żeńskiego zaproponowały prowadzącemu oficerowi pójście na kompromis. Ten na to z oburzenie miał powiedzieć, że nigdzie z nimi nie będzie chodził. Jeżeli nawet nie jest to prawdziwe, to oddaje nasze wyobrażenie o ich poziomie intelektualnym. Większość z nich ukończyła krótko trwające szkóły oficerskie- werbowana do nich pod hasłem „Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera", z którym to hasłem wisiało w całej Polsce tysiące plakatów. Ważne tylko było, aby kandydat na oficera był synem robotnika, lub chłopa i to małorolnego, a nie „kułaka". Zresztą nie lepiej było z niektórymi innymi zawodami. Np. z takim pochodzeniem, jak na oficera można było ukończyć w kilku miesięczny kurs prokuratorski i być dyspozycyjnym prokuratorem. Ważne było tylko pochodzenie, bowiem, jak głosiła doktryna,

ważny był instynkt klasowy, a nie wykształcenie, jako gwarancja słusznych decyzji w budowie socjalizmu.

Moje licealne przysposobienie wojskowe zwieńczał dwu miesięczny pobyt w hufcach „Służby Polsce". Organizacja „Służba Polsce" składała się z dwu formacji. Jedna to kilkuletnie ochotnicze hufce pracy, pracujące na takich budowach jak Nowa Huty, składające się szczególnie z młodzieży wiejskiej, która w ten sposób zdobywała różne zawody. Druga składająca się z młodzieży uczącej się, najczęściej maturzystów, powoływanych do odbycia jednorazowo dwumiesięcznych ćwiczeń w czasie wakacji. Ćwiczenia te polegały na pracy, szkoleniu wojskowym i ideologicznym w wyznaczonych miejscowościach.

Nasz zamojski hufiec z 1949 r. został wysłany do Sosnowca, a ściślej na teren kopalni węgla kamiennego „Kazimierz- Juliusz" do pomocy przy budowie fińskich domków dla jej załogi. Niewielkich, składanych z gotowych elementów jednorodzinnych domów. Dlaczego fińskich? Sprowadzano je z Finlandii za polski węgiel.

Fińskie domki

Hufiec liczył stu kilkudziesięciu uczniów z różnych szkół zamojskich i nosił nazwę „35 brygada Powszechnej Organizacji Służba Polsce". Przebywaliśmy tam od 6 lipca do 27 sierpnia 1949 r. Byliśmy umundurowani w drelichowe zielone ubrania i furażerki na głowie. Mieszkaliśmy w kilkunasto osobowych namiotach. Do pracy na budowę chodziliśmy dwa razy dziennie tj. pomiędzy śniadaniem i obiadem, i obiadem a podwieczorkiem. Potem były różne pogadanki, ćwiczenia i tzw. zajęcia ideologiczne. Ja od razu wkręciłem się do kancelarii, gdzie praca polegała na wypełnianiu jakiś zestawień, a większość dnia na nic nie robieniu.

Czasami chodziłem do pracy z najbliższymi kolegami, ale korzystając z pracy w kancelarii urywałem się z innych zajęć, szczególnie ideologicznych pogadanek. Wypisywałem wnioski do awansowanie mnie na coraz wyższe

stopnie i nowe odznaczenia. W ten sposób w ciągu dwu miesięcy awansowałam na najwyższy stopień hufcowego i dostałem wszystkie medale, jakie można było dostać w tej organizacji. Robiliśmy to, ja i inni koledzy z kancelarii z humorem, zachęcani przez szefa sztabu brygady, plutonowego z wojska, starego kancelaryjnego wyjadacza i cwaniaka, który był naszym przełożonym.

Ponieważ część chłopców paliła fasowaliśmy po dziesięć papierosów dziennie w specjalnych, małych paczkach. Dyscyplina była wojskowa, w nocy warty z bronią, lecz bez ostrej amunicji, pobudką, poranną gimnastyką, myciem się na dworze zimną wodą, śniadaniem i porannym apelem. Potem wymarsz do pracy urozmaicony śpiewem w rodzaju:

Już się serce w górę rwie
Młodzież i espe
Nierozłączne siostry dwie
Młodzież i espe

W czwartym wierszu zamiast słowa młodzież śpiewaliśmy najczęściej gromkim głosem: kurwa, co do szału doprowadzało naszego szefa kompanii „zupaka" (zawodowego) sierżanta chyba jeszcze z przedwojennego korpusu podoficerów Wojska Polskiego, który całe życie zajmował się „ćwiczeniem musztry i wdrażaniem rekrutów do życia w wojsku". Zatrzymywał kompanię i wygłaszał tyrady na temat naszego zachowania. Po czy kazał śpiewać inną piosenkę np.:

Idzie piechota ziemia drży
A złote słonko salutuje
Za wolny kraj gotowi lec
Gdy wódz Żymierski nam przoduje

Żymierski był wtedy marszałkiem Polski i ministrem Obrony Narodowej. Niedługo potem zastąpił go Konstanty Rokossowski, o czym dalej.

Piosenki były, jak wszystkie tzw. piosenki masowe w tym okresie, bardzo melodyjne, ze świetnym rytmem dopasowanym do marszu oddziału. Tyko z głupią treścią. Nasz sierżant był zresztą poczciwiną, który jak każdy szef kompanii w wojsku starał się być zwyczajowym „ojcem i powiernikiem żołnierzy", oraz „alfą i omegą służby". Bez takich szefów, bez ich wiedzy i pracy wojsko i oficerowie by zginęli. Fryderyk Wielki pierwszy twórca nowoczesnej armii powiedział, że wojsko opiera się na kapralach. Do dzisiaj ta prawda nie straciła nic na znaczeniu. Jednak nasz szef był ciągle przez nas prześladowany, najczęściej w niewybredny sposób, bowiem na nim- najstarszym rangą z nam dostępnych, wylewał się nasz żal za zmarnowane wakacje.

Ponad wszystkim był dowódca brygady, porucznik, którego nazwiska, jak i innych nie pamiętam. Przystojny, dobrze zbudowany, energiczny, zawsze elegancko ubrany około czterdziestoletni mężczyzna, który sylwetką i sposobem bycia prezentował postać przedwojennego oficera. Mało udzielał się w brygadzie; odbierał poranne i wieczorne apele i coś tam, kiedy było potrzeba, podpisywał. Prowadził „dolce vita" polegające na urywaniu się na noc na dancingi i zabawy, a w dzień odsypianiu nocnego zmęczenia.

Z brygady dostałem zaświadczenie o pracy w „Służbie Polski", które natychmiast wysłałem do Szczecina dołączając do moich papierów złożonych na uczelni. Było to drugie zaświadczenie, jakie mogłem złożyć do podania o przyjęcie na studia. Pierwsze to sfingowane zaświadczenie, że ojciec jest

małorolnym chłopem. Inni mieli lepsze, bo należeli do Związku Młodzieży Polskiej- przybudówki partii i ci mieli pewność, że będą przyjęci. Ja nie należałem ani do partii, ani do ZMP. Ale ta przynależność nie miała jednak takiego wpływu w naszej uczelni, jak w uczelniach państwowych.

Na obozie SP zorganizowaliśmy w kilku chór na wzór modnych wtedy „rewelersów". Należeli do niego trzej wysocy stojący od lewej: Romuald Kołodziejczyk, „Pan" Pomian z liceum handlowego, który tylko trzyma harmonię, i Heniek Pakuła – kolega z mojej klasy. Grał na harmonii jeden z tych niższych, który stoi pomiędzy Pomianem a Pakułą. Nazwisk dwu niższych kolegów już nie pamiętam.

W połowie września dostałem zawiadomienie z uczelni, aby stawić się na egzamin. W tym czasie podróż do Szczecina to była cała wyprawa. Z domu, ze Szczebrzeszyna jechałem najpierw do Medyki, a więc na wschód do granicy z Ukrainą. Tam po kilku godzinach czekania przyjeżdżał w nocy pociąg relacji Przemyśl- Szczecin. Tym pociągiem jechało się „dookoła Polski" prawie dobę. Przez Kraków, Katowice, Poznań. Przed samym Szczecinem wysiadało się i przechodziło pieszo przez Odrę po moście pontonowym, gdyż stały był zniszczony. Przez ten sam most, niezmiernie wolno, przejeżdżał pusty pociąg. Most pontonowy uginał się pod jego ciężarem tak, że wydawało się, że pociąg zaraz spadnie do Odry.

Nie pamiętam, z czego zdawałem egzamin wstępny, ale wiem, że na pewno z języka angielskiego, gdyż siedziałem obok kolegi, który dobrze znal angielski i sporo mi pomógł. Nazywał się Ireneusz Moszner, był synem przedwojennego oficera i całą okupację wraz z rodzicami spędził w Szkocji, gdzie chodził do szkoły z angielskim językiem nauczania. Później zaprzyjaźniliśmy się, ale nasza przyjaźń nie trwała długo, gdyż chyba po dwóch latach jego rodzicom nie podobała się nasza uczelnia i zabrali go do Gliwic,

gdzie mieszkali. Tam skończył politechnikę i jak słyszałem budował później kopalnie w Indiach.

Oto pełna nazwa uczelni, do której zdawałem egzamin:

Akademia Handlowa w Poznaniu
Oddział w Szczecinie. Mickiewicza 66

Akademia w Poznaniu działała już przed wojną, a jednym z jej profesorów był prof. zw. dr Józef Górski. Zaraz po wyzwoleniu zaczął w Poznaniu organizować szkolnictwo wyższe. Od marca 1945 roku, gdy jeszcze toczyła się wojna, pełnił obowiązki rektora Akademii Handlowej. Pracował w szczególnie trudnych warunkach. Podniósł z ruin (w dosłownym znaczeniu słowa) budynek uczelni i zorganizował naukę. W roku 1945 r., kiedy zorientował się, że dawny budynek Akademii będzie niebawem za mały, z własnej inicjatywy zakupił parcelę po zburzonym domu obok gmachu uczelni i podpisał kontrakt z przedsiębiorstwem budowlanym, któremu płacił własnymi wekslami. Weksle Józefa Górskiego były warte tyle, co pieniądze; każdy bank w Poznaniu byłby je zdyskontował, mając ustne zapewnienie, że ministerstwo kiedyś zapłaci. I zapłaciło, pomimo że uczelnia jeszcze wtedy była prywatną fundacją Związku Kupców Polskich.

Na przełomie lat 1945/1946 prof. Józef Górski podjął decyzję o utworzeniu w Szczecinie pierwszej w dziejach tego miasta (od jego zarania) wyższej uczelni akademickiej- w formie filii poznańskiej Akademii Handlowej. Później szczecińska filia usamodzielniła się. Gdy prof. Górski organizował tę uczelnię ważyły się jeszcze losy Szczecina. Nie było pewności, czy zostanie on wcielony do państwa polskiego.

Filia w Szczecinie zainaugurowała swoją działalność 14 października 1946 roku. Jej pierwszym rektorem w latach 1946–1948 był prof. Józef Górski, który pełnił tę funkcję równolegle z funkcją rektora w Poznaniu.

Vice rektorem w Szczecinie, a potem rektorem w latach 1948—1950 był prof. zw. dr h.c. Leon Babiński. Studiował prawo w Sorbonie i na uniwersytecie Łomonosowa w Moskwie. Pracę zawodową rozpoczął w 1917 r. jako sekretarz Sądu Najwyższego w rodzinnej Warszawie. Po dwóch latach przeszedł do służby dyplomatycznej, jako radca traktatowy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i pozostał w niej przez cały okres istnienia II Rzeczpospolitej.

Jednocześnie współpracował z kilkoma warszawskimi uczelniami. Od 1919 r. do wybuchu wojny w 1939 r. wykładał w Szkole Nauk Politycznych, a także w Szkole Głównej Handlowej, gdzie w 1938 r. uzyskał stanowisko profesora tytularnego. Nadto współpracował z Wolną Wszechnicą Polską, Uniwersytetem Warszawskim i brał udział w pracach Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Aktywność naukowa prof. Leona Babińskiego w okresie międzywojennego dwudziestolecia koncentrowała się wokół problematyki międzynarodowego prawa prywatnego, a następnie, w powiązaniu z jego służbą dyplomatyczną, na kwestiach prawa morskiego i lotniczego.

„Był uznanym specjalistą i autorytetem w zakresie prawa morskiego i lotniczego − wspominał mój dziekan prof. Władysław Górski − jego podpisy składane w imieniu Rzeczpospolitej widnieją na wielu międzynarodowych dokumentach.” Był, między innymi, ekspertem Rzeczpospolitej Polskiej w pracach Międzynarodowej Komisji Żeglugi Powietrznej. Po zakończeniu II wojny światowej, w latach 1945−1947, brał udział w pracach Polskiej Misji

Rewindykacyjnej i Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie. Jednocześnie, osiadłszy wówczas pod Poznaniem, związał się z poznańską Akademią Handlową. Od jesieni 1946 r. pracował w filii tej uczelni powstałej w Szczecinie, gdzie w następnym roku przeniósł się na stale, wiążąc się z tym miastem na resztę swego życia".

Leon Babiński herbu Korab urodził się 13.01.1891 r. w Warszawie, jako syn wybitnego lekarz Władysława. Zmarł 11.01.1973 r. w Szczecinie. Spoczywa w grobie rodzinnym na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie

Wykłady prof. Babińskiego z zagadnień prawa międzynarodowego były bardzo ciekawe i cieszyły się powodzeniem. Szczególnie dla tego, że wyczuwało się jego sympatię do słuchaczy, a także, że był wzorem uczonego o ogromnym autorytecie- wybijającym się na tle wielu innych, raczej nauczycieli niż profesorów. Jednak nie wiele z jego wiedzy skorzystałem- wielu rzeczy po prostu nie w pełni rozumiałem. Nie miałem o prawie żadnego pojęcia, pierwszy raz w życiu słuchałem o nim wykładów i to od razu o prawie międzynarodowym. Wyobrażam sobie dzisiaj, że wykłady te byłyby świetne wykorzystane na studiach magisterskich, kiedy studenci mieliby już za sobą podstawową wiedzę o prawie, zdobytą na studiach pierwszego stopnia zwanym dzisiaj licencjatem. Jednym słowem jego wiedza i erudycja była, jak mówi niezbyt eleganckie przysłowie, trochę „rzucaniem pereł przed wieprze".

Również jego wykłady zdawały mi się wtedy niezbyt klarowne. Miał ogromną wiedzę nie tylko teoretyczną, ale także praktyczną- stąd wiele dygresji, które nie rozjaśniały obrazu. Mówił np. o jakieś konwencji, aby po chwili wejść w dygresję np. o błędach w niej popełnionych, aby zaraz wejść w dygresję do tej dygresji itp. Wyglądało to tak, jakby wracał i żył jeszcze raz w

tamtym czasie rozplątując z kolegami nieraz karkołomnie zagadnienia. Tak mi się to wtedy wydawało. Jeszcze raz powtarzam- miał za bogatą wiedzę na wykłady dla studentów z zerowym pojęciem o prawie. Marnował ją nie wykładając na studiach prawniczych.

Mówię to z dzisiejszego poziomu mojej wiedzy nabytej w pracy, w której, na co dzień musiałem korzystać z różnego typu konwencji np. CMR, TIR, odpowiedzialności przewoźnika w przewozach drogowych i morskich, i wielu innych. Teraz wiem, że te interpretacje i dygresje byłyby b. przydatne w trakcie mojej pracy zawodowej.

W 1971 r. Leon Babiński otrzymał doktorat „Honoris Causa". Jego imię nadano jednej z ulic w Szczecinie i auli akademickiej w budynku ul. Mickiewicza 66. Prof. Janina Jasnowska napisała o Leonie Babińskim m.in.: *Przyniósł on na grunt Szczecina głęboką wiedzę, doświadczenie i wysoką kulturę człowieka nauki*.

W kilka lat po jego śmierci zasadzono na Cmentarzu Centralnym dąb jego imieniem.

Następnie, w latach 1951-1952, rektorem był prof. dr inż. Czesław Pietrzyk, o którym mogę tylko powiedzieć, że jego brat był dyrektorem generalnym Centralnego Zarządu Państwowej Komunikacji Samochodowej. Trzecim rektorem był kierownik katedry rachunkowości prof. dr Eufemiusz Terebucha. Nie wiele mogę o nich powiedzieć- zapewne nie wiele wnieśli do mojej pamięci.

Z Innych profesorów zapamiętałem: Stanisława Schwanna, Józefa Rutkowskiego, Juliusza Mikołajskiego, Rzuskę, Koselnika. Znaczna część profesorów, przynajmniej w pierwszym okresie, dojeżdżała z Poznania.

Na pewno wszystkim studentom utkwił w pamięci prof. Juliusz Mikołajski. A to za sprawą klimografów. Wykładał geografię i jedną z jego, wprost maniakalnej wizji tego przedmiotu były właśnie klimografy- roczne wykresy średnich ciśnień i temperatury określonych miast. Wyglądało to jak

tarcza zegara, na której rysik, zgodnie z ruchem wskazówek, rysował przez 12 miesięcy średnie ciśnienie atmosferyczne. Drugi rysik oddalony o centymetr rysował temperaturę. Powstawały dwa koła wpisane w siebie o nieregularnej linii. Makabryczne były egzaminy. Student dostawał taki obrazek z pytaniem, jakie to miasto- leży ono w północnej Ameryce. Nie wiem ilu z nas odpowiedziało prawidłowo na to pytanie- ja nie. Pewnie były też inne pytania, bo jednak geografie zaliczaliśmy.

Podobno w pierwszych latach uczelni był także jej administratorem-gospodarzem. Jak opowiadali koledzy ze starszych roczników jednym z jego dziwactw było dokuczanie studentom źle wg niego ubranych. Studentce lepiej niż zwykle ubranej mówił: wypindrzyłaś się i myślisz, że zaliczysz egzamin? Student, który poważył się przyjść na egzamin ubrany na sportowo, bez krawatu, był np. przywoływany do okna- profesor pokazywał mu jakieś drzewo i zarządzał: skocz no i z tamtej czereśni narwij mi trochę owoców.

Drugim oryginałem zapamiętanym przez pierwsze roczniki studentów był prof. Rzuska, zwany popularnie Brzózka, który na katedrze był trochę aktorem a wykłady urozmaicał różnymi „wstawkami". Najsłynniejszymi było wydrwiwanie wystąpienia Gomółki w Szczecinie. Gomółka był ówcześnie pierwszym sekretarzem Polskiej Partii Robotniczej, vice premierem i Ministrem Ziem Odzyskanych. Rzuska przez kilka dni naśmiewał się z niego w stylu: to wstyd, aby ten pan przemawiający takim językiem nazywał się Polakiem, ministrem. Oczywiście zastrzegając, że mówi ex cathedra, co przed wojną oznaczało, że za swoje słowa nie może być pociągnięty do odpowiedzialności. W kilka dni potem na tablicy ogłoszeń rektorskich znalazło się ogłoszenie: wykłady profesora Rzuski zawiesza się do odwołania. Po kilku dniach pojawił się prof. Rzuska w dosyć dziwny sposób obandażowany i na początku wykładu oznajmił: Ja niczego się nie boję!

Szczecińska Akademia nastawiona była na kształcenie przyszłych specjalistów dla handlu zagranicznego i obsługi tegoż handlu przez port morski. Wobec ogromnych powojennych braków pracowników w tym zakresie i konieczności jak najszybszego ich wykształcenia, uruchomiono na razie studia jednostopniowe rozłożone na trzy lata, z perspektywą zorganizowania później studiów drugiego stopnia- magisterskich. Z tej przyczyny studia magisterskie odbyłem dopiero później w Politechnice Szczecińskiej, do której przyłączono naszą uczelnię.

Ponieważ brakowało wzorów dla tego rodzaju studiów uczelnia stworzyła własny program, którego nierealnym założeniem było nauczenie studentów wszystkiego. Czego tam nie było. Zagadnienia prawne, księgowość, statystyka, spedycja, towaroznawstwo, geografia, historia, dwa języki w tym obowiązkowo rosyjski i cały szereg innych przedmiotów- razem w toku studiów około 30-stu. Program był przeładowany, bez myśli przewodniej, często taki „groch z kapustą". Kadra naukowa była w większości dobra- szczególnie profesorowie przedwojenni dojeżdżający z Poznania.

W październiku 1949 r. rozpocząłem naukę immatrykulacją na pierwszym roku studiów. Uczelnia znajdowała się przy ulicy Mickiewicza, dojechać do niej można było tramwajem nr 5. Duży, wysoki gmach z czerwonej cegły, wybudowany w stylu neogotyckim. Wewnątrz, oprócz różnych pomieszczeń, znajdowała się duża aula wyposażona w drewniane krzesła mające z prawej strony podłokietnik zakończony u góry małym pulpitem, na którym można było umieścić książkę, lub notatnik do pisania.

Stan dzisiejszy uczelni- piękny ceglany fronton zamalowany żółtą brzydotą z dobudowanymi po obu stronach budynkami, których dawniej nie było.

Książek do poszczególnych przedmiotów prawie nie było. Trzeba było prowadzić notatki z wykładów, aula była zawsze pełna. Niestety część studentów szybko się wykruszyła z przyczyn, których nie znam, jak jednak przypuszczam znaczna część z nich z powodu braku zaplecza materialnego. Społeczeństwo było wtedy b. biedne. Z naszego roku ukończyło uczelnię niewiele ponad sto osób. Tak wspomina młodzież z lat 1946—1950 profesor Władysław Górski:

„Młodzież z tamtych lat była doprawdy wspaniała. Wywodziła się z różnych stron kraju. Najwięcej oczywiście, przesiedlonych było tutaj z Wilna i Wileńszczyzny. Przybyli także z województw centralnych, częstokroć dla zatarcia śladów po sobie, w obawie przed represjami lub eksterminacją za udział w AK lub innych organizacjach patriotycznych. Nie sposób wręcz opisać zapału ówczesnej młodzieży do studiowania, do nauki, do uzupełniania swoich wiadomości. Garnęli się do uczelni, nie opuszczali zajęć, choć nikt nie sprawdzał obecności. Do dziś podziwiam prężność organizacyjną słuchaczy: „Bratnia Pomoc" zorganizowała np. pisanie skryptów. W ciągu kilku zaledwie dni studenci korelowali notatki z wykładów, a potem sami „kręcili" skrypty na ręcznym powielaczu. „Bratnia Pomoc" ustaliła również wzór czapki akademickiej. Zasadniczy fason przejęto z uczelni macierzystej, tzn. z AH w Poznaniu. Z tym, że zamiast symbolu Merkurego (boga handlu) na zielonej czapce szczecińskiej widniał wyszywany złotem znak kotwicy, symbol morskiego Szczecina i morskich zainteresowań młodzieży.

Ówczesna młodzież nie była jednak zastraszona czy bezwzględnie posłuszna władzom. Umiała zawalczyć o swoje prawa: wart jest odnotowania jeden z incydentów tego pionierskiego okresu. Miasto niemające tradycji akademickich nie przewidywało dla studentów zniżki za przejazd tramwajami i autobusami. Wzburzony tłum młodzieży na znak protestu wywrócił jeden tramwaj. Awantura rozeszła się po kościach, podobno na samą interwencję wojewody Borkowicza, a studenci zniżkę uzyskali".

Działo się to w 1946 r., ale legenda o tym dotarła do moich czasów.

Prawdą jest, że byli AK-owcy uciekali na tzw. Ziemie Odzyskane, aby zgubić się w tamtejszym chaosie. Tak zrobili m.in. dwaj studenci ze Szczebrzeszyn, mój cioteczny brat Adam Kapecki i Henryk Guzowski- patrz

www.szczebressyn.pl, wspomnienia: Bitwa pod Osuchami, i publicystyka: Ksiądz infułat Henryk Guzowski.

Musiałem wpłacić wpisowe i dość znośną sumę czesnego za każdy semestr. Wkrótce jednak, bazując na zaświadczeniu, że ojciec jest małorolnym, nie tylko zwolniono mnie z płacenia czesnego, ale również przyznano stypendium 7.000 złotych. 28.10.1950 r. nastąpiła wymiana pieniędzy i odtąd stypendium wynosiło 210 nowych złotych. Płatne były egzaminy. Każdorazowo trzeba było wykupić w kwesturze specjalny kupon, za, jeśli mnie pamięć nie myli, 150 złotych (przy stypendium 7.000), który wręczało się egzaminatorowi podczas egzaminu. Na podstawie tych kuponów profesor pobierał z kasy pieniądze za przeprowadzony egzamin. Egzaminy przeprowadzali prawie zawsze sami profesorowie, nikim się nie wyręczając. Egzaminy często odbywały się poza uczelnią, umawiano się z profesorem np. w kawiarni i można było powtarzać je wiele razy aż do skutku. Jednak profesorowie nie nadużywali tego sposobu dla zwiększanie swoich zarobków, pomimo, że kupony trzeba było wykupić i wręczać im za każdym razem.

Cała dzielnica Szczecina położona nad Odrą, od dworca kolejowego do budynków urzędu morskiego na Wałach Chrobrego łącznie z zamkiem, a w stronę śródmieścia do Bramy Portowej, stanowiło jedno gruzowisko- skutek alianckiego nalotu dywanowego. Nad dworcem, na wzgórzu stały wypalone kikuty magistratu, który z dymem puścili sowieci po zajęciu Szczecina. W tej dzielnicy jedynie gmachy akademii medycznej stały całe, a także tylko trochę uszkodzona katedra. Dalej w kierunku centrum, a także w dzielnicy Pogodno i innych nie było widać zniszczeń.

Nie wiem, jak moi rodzice przeżywali mój wyjazd. W praktyce mając dziewiętnaście lat opuszczałem dom jadąc w odległe strony pełne powojennego chaosu. Do miasta, o którym wiedziano, ze jeżdżą tam szabrownicy, nazywane jest dzikim zachodem i nie wiadomo czy utrzyma się przy Polsce. Nie istniały wtedy, oprócz listów, żadne możliwości łączności.

Zamieszkałem tymczasowo, do czasu znalezienia sobie kwatery, przy ul Jana Kazimierza u dwu studentów ze Szczebrzeszyna: mojego ciotecznego brata Adama Kapeckiego i Tadeusza Michalskiego. Szukanie mieszkania szło mi dość nieporadnie, nie miałem odpowiedniej wprawy.

W tym czasie wojska radzieckie oddały miastu byłe niemieckie koszary. Koszary wybudowane tuż przed wojną, stanowiło kilka nowoczesnych, jednopiętrowych bloków. Znajdowały się na peryferiach Szczecina przy ulicy Ku Słońcu. Miasto oddało b. koszary szczecińskim uczelniom celem urządzenia w nich domów akademickich. Przeniosłem się tam i ja. Pokoje były cztero osobowe bez żadnych urządzeń- gołe podłogi i ściany. Na każdym piętrze zbiorowe łazienki i ubikacje, działało centralne ogrzewanie.

Ponieważ przywiozłem ze sobą kołdrę i koc, rozłożyłem kołdrę na podłodze, jako materac, a przykrywałem się kocem. Walizka służyła za stół i magazyn dla rzeczy trwalszych, jak i codziennych. Te trwalsze to bielizna osobista i pościelowa, którą wysyłałem do prania do domu.

Razem ze mną zamieszkało trzech kolegów z Wyższej Szkoły Inżynierskiej, późniejszej politechniki. Starszy od nas o kilka lat Jacek, warszawiak, po którym widać było, że „nie z jednego pieca chleb jadł". Dawał do zrozumienia, że brał udział w powstaniu warszawskim. Trochę taki cwaniakowaty, życzliwie pełnił role starszego brata, dzieląc się z nami swoim dużym życiowym doświadczeniem. Drugi też warszawiak równy mi wiekiem

Marian Białous. Jacek sprawował nad nim opiekę, jakoby z polecenia rodziny Mariana. Opieka ta najczęściej polegała na dobrotliwym wydrwiwaniu Mariana z jego pewnej nieporadności życiowej spowodowanej, jak się wydaje, opieką mamusi, który dopiero teraz uczył się samodzielności. Miał w zwyczaju po przebudzeniu siadać na łóżku w pozycji lotosu i przypatrywać się swoim nogom a raczej stopom. Po kilku minutach takiej medytacji budził go Jacek: Marianku policzyłeś już nogi- są dwie? Nikt ci ich nie ukradł? No to wstawaj- czas jechać na wykłady.

Czwartym naszym współlokatorem był Marek pochodzący z Kozienic. Żywy inteligentny chłopak- nie mamin synek. Niestety nazwisk Jacka i Marka już nie pamiętam. Któregoś dnia w inżynierce (politechnice) odwaliłem egzamin z materializmu za jednego z nich. Wiele lat potem zastanawiałem się, dlaczego dwaj warszawiacy studiowali w Szczecinie, daleko od domu, przy fatalnych połączeniach Szczecina z Warszawą. Przecież mieli politechnikę w Warszawie. Także Marek miał dużo bliżej do Warszawy czy Krakowa. Do dzisiaj nie odpowiedziałem sobie na to pytanie. Być może byli pewni, że na WSI w Szczecinie dostaną się łatwiej. Po jakimś czasie wspólnego mieszkania rozstaliśmy się i nigdy w życiu już ich nie spotkałem, ani o nich nie słyszałem.

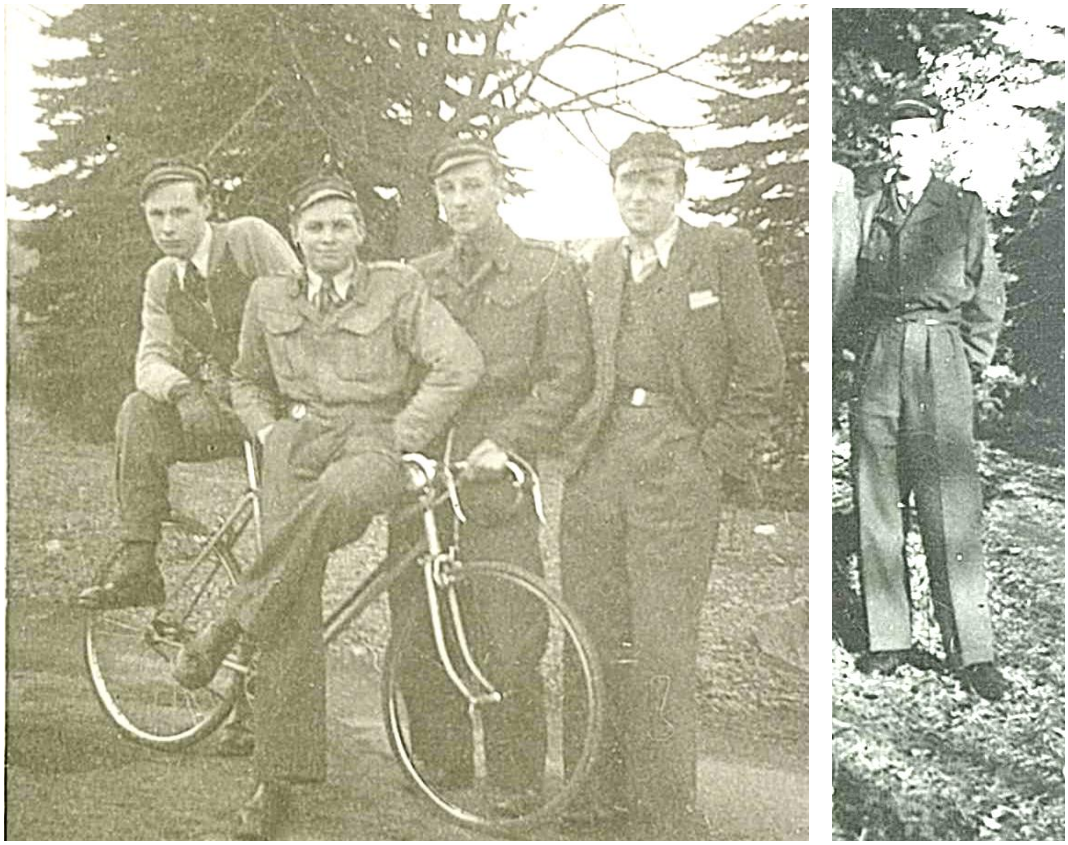

Koledzy ze wspólnego pokoju. Od lewej: pierwszy ja, drugi Marek, czwarty Jacek, doczepiony Marianek. Trzeci od lewej Irek Moszner- właściciel roweru, też mieszkający w domach akademickich przy ulicy Ku Słońcu. Rowerem tym jeździliśmy po asfaltowych uliczkach parku- cmentarzu.

W jednym z bloków naszego akademika mieszkały dziewczyny z naszej uczelni. Czuły się tak samo samotnie jak my, po raz pierwszy daleko od domu i rodziny. Poznałem trzy z nich mieszkające w jednym pokoju. Z dwoma kolegami zaczęliśmy z nimi romansować. Ja z Bożeną z Grudziądza. Wracałem

do swojego pokoju często nad ranem wywołując złość Jacka, który miał bardzo czujny sen i budził się zawsze pomimo tego, że starałem się zachowywać jak najciszej. Romanse trwały kilka miesięcy, do czerwca, kiedy po ukończeniu pierwszego roku rozjechaliśmy się na wakacje. Potem już mieszkałem poza domami akademickimi i z Bożeną widywałem się tylko sporadycznie. Po ukończeniu uczelni nigdy już się z nią nie spotkałem, chociaż słyszałem trochę o jej dość dobrej drodze życiowej. Gdy to pisze minęło już 65 lat.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw naszych akademików, znajdował się jeden z największych w Europie cmentarz-park. Projektantem jego był architekt miasta Szczecina Wilhelm Meyer-Schwartau. Urodził się w 1854 r. Lubece-Schwartau, zmarł w 1935 r. w Szczecinie. Swą działalnością wpłynął znacząco na kształt architektoniczny Szczecina. To on zaprojektował obecne Wały Chrobrego wraz z Muzeum Miejskim i gmach Magistratu. Według jego projektu ukształtowano teren cmentarza- pomysł cmentarza-parku zaczerpnął z Anglii i Stanów Zjednoczonych. Kaplica i brama główna wzorowana jest na włoskim „campo santo".

Miasto zakupiło tereny położone pomiędzy dzisiejszymi ulicami Ku Słońcu i Mieszka I-go, liczące około 150 ha. 6 grudnia 1901r. nastąpiło oficjalne otwarcie cmentarza. Pierwszym jego dyrektorem do 1928 r. był Georg Hannig. Od początku zadbał o artystyczną stronę stawianych nagrobków. W tym celu zarząd miasta i związek rzeźbiarzy zorganizowali wystawę nagrobków i rzeźb oraz ich stałą ekspozycję przy kaplicy cmentarnej. Hannig w okresie pełnienia swej funkcji ukształtował wygląd cmentarza. Za wszelką cenę starano się uniknąć wrażenia „kamiennej pustyni", tj. stłoczenia grobowców i pomników. Miały one być wolne od „tandety masowej wytwórczości", ustawiane w powiązaniu z otaczającą zielenią. Wprowadzony regulamin cmentarza określał rozmiary nagrobków i materiał, z którego mogły być wykonywane.

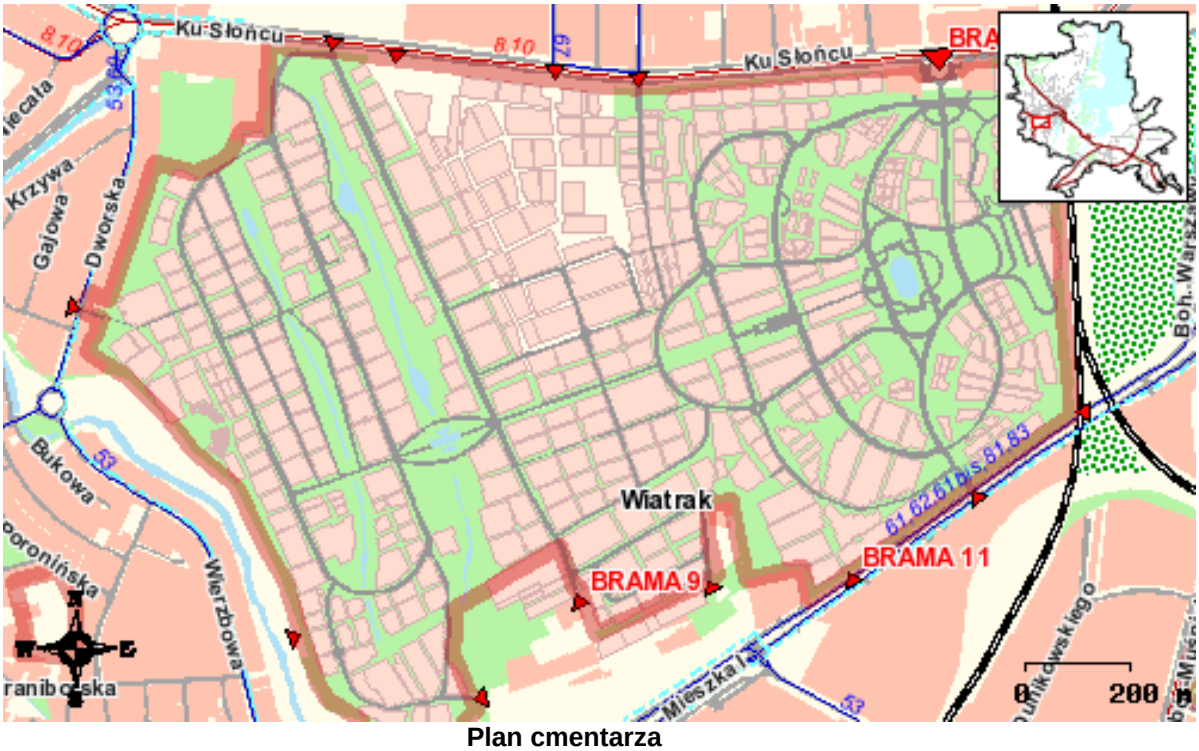

Plan cmentarza

W rezultacie cmentarz stał się chlubą miasta. Pokazywano go przyjezdnym, wydawano przewodniki, wytyczono trasy zwiedzania. Wśród zieleni stanęły rzeźby nagrobne znakomitych twórców. Najbardziej znana jest „Matka Ziemia" Ernsta Barlacha. Ocalała i w 1967 r. przekazana została do muzeum w Güstrow. Później reprodukowana była na znaczkach poczty RFN, i pokazywana kanclerzowi Helmutowi Schmidtowi podczas jego wizyty w NRD.

Po wojnie przyjęła się nazwa--Cmentarz Centralny. Od 1945 r. zmarłych chowano w jedynej wolnej kwaterze w części wschodniej, zwaną kwaterą pionierów. Było tu także kilka kwater z mogiłami zbiorowymi żołnierzy polskich i radzieckich. Ponieważ prawie cały cmentarz był już zapełniony grobami podjęto barbarzyńską decyzję o radykalnym usunięcia grobów niemieckich. Niemal wszystkie nagrobki zostały zniszczona, pozostały nieliczne resztki. Płytami nagrobnymi wyłożono niektóre ulice, zapewne znaczna część została rozkradziona.

Za moich czasów cmentarz był jeszcze w dobrej, dotychczasowej formie. Groby nie były stłoczone, jedne od drugich oddzielone zielenią, przeważnie nieznanymi jeszcze wtedy w Polsce tujami.

Cały szereg asfaltowych dość szerokich alejek był wspaniałym miejscem do jazdy rowerem.

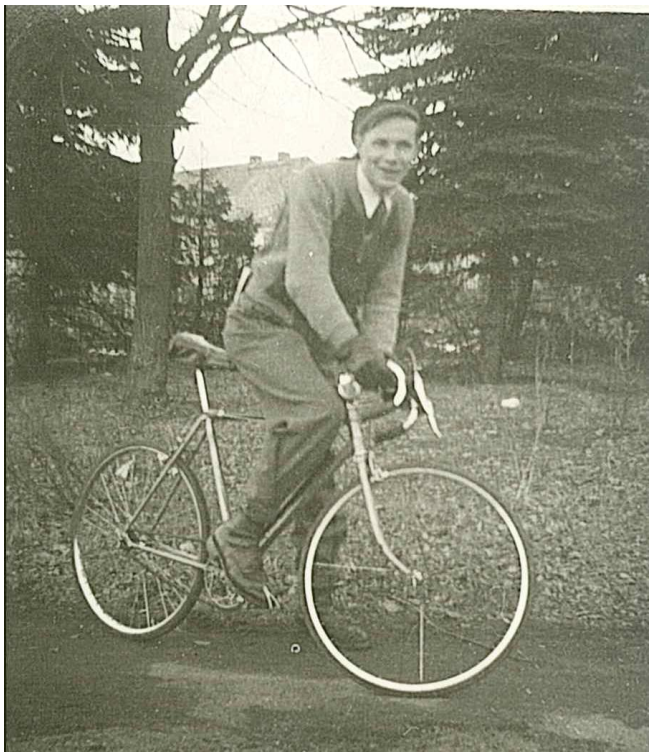

Ja na rowerze. Z tyłu widoczne domy akademickie

Mój krąg znajomości zaczął się rozszerzać Oprócz Ireneusza Mosznera znanego mi z egzaminu wstępnego i mieszkającego w domach akademickich, poznałem Janka Knapka pochodzącego gdzieś z okolic Węgierskie Górki. Twardy góral żywiecki- swoisty typ człowieka. Miał do Żywca 13 kilometrów ze swojej wsi, gdzie skończył szkołę powszechną. Uparł się, że będzie chodził do gimnazjum i liceum pomimo braku akceptacji rodziny. Każdego dnia chodził piechotą do szkoły w Żywcu 13 kilometrów tam i 13 z powrotem. Po jakimś

czasie złożył sobie rower i już się zrobiło lżej. Uzyskał maturę i dopiął swego rozpoczynając studia na naszej uczelni.

Po ich ukończeniu i dość szybkim ożenku, pracował, jako księgowy a potem główny księgowy w jednej z kopalń na Górnym Śląsku. W końcu lipca 1950 r. byliśmy wraz z Alkiem, (o którym później) u niego na weselu chyba jego siostry. Dzisiaj pamiętam tylko wspaniałe widoki Beskidu Żywieckiego i pyszne piwo „marcowe" pite w sklepie fabrycznym browaru Żywiec. Sad śliwkowy rodziców Janka i sytuacje, kiedy goście weselni biją się, potem piją i znowu się biją. Janek, który miał czarną, kędzierzawą „murzyńską" czuprynę opowiadał nam, że kiedy wcześniej chodził na zabawy czy na wesela, to w czasie bitki łapano go za czuprynę i bito głową w różne przedmioty. Poradzi sobie w ten sposób, że przed zabawą rozbijał kufel, czy inne szkło w moździerzu i rozbitym szkłem posypywał sobie głowę. Już nigdy, nikt, opowiadał, nie chwytał go za włosy. Cały Janek Knapek.

W domach akademickich poznałem również Heńka Cieślika. Podszedł do mnie jakiś kolega z mojego roku i poprosił mnie o kupienie we wskazanym sklepie trzy metrowy kupon materiału z bielskiej wełny na uszycie ubrania. Powiedział mi, że kupił już jeden taki kupon dla siebie i chciał kupić drugi dla brata, ale sprzedają jednemu klientowi tylko jeden kupon. Oczywiście kupiłem. Trzeba tutaj powiedzieć, że w tych czasach, tak jak przed wojną, mężczyźni ubrania szyli u krawców, rzadko kupowali gotowe garnitury- było ich mało i fatalnej, jakości. Najdroższe i najbardziej eleganckie ubrania szyte były z bielskie (Bielsko-Biała) wełny, która słynęła z jakości i w którą ubierali się angielscy lordowie. Oczywiście do wełnianej tkaniny sprowadzonej z Polski do Anglii doczepiano angielskie metki. Potem dopowiedziałem się, że Heniek prosił o tę przysługę także i innych. Jak się okazało kupował jeszcze zegarki od marynarzy i wiele innych atrakcyjnych rzeczy, a w późniejszym okresie także np. nowe na rynku polskie motocykle SHL o pojemności 125 cm sześciennych, opony motocyklowe itp.

Pochodził z miejscowości Niedobczyce koło Rybnika. Wszystko to zawoził do domu, gdzie z zyskiem sprzedawał. Śląsk był głodny produktów dobrej jakości, a Heniek utrzymywał się z tego handlu.

Od lewej: Jan Knapek, Alfons Świder (Schwider), NN asystent z naszej uczelni, ja i Irek Moszner—Szczecin wiosna 1950 r.

Następnym poznanym kolegą był Alfons Schwider, starszy ode mnie o sześć lat, zwany przez najbliższych i kolegów Alek. Wysoki, przystojny brunet, o twarzy zdobywczego mężczyzny- amanta z amerykańskich filmów. Nasza znajomość przerodziła się w serdeczną przyjaźń trwająca do dzisiaj 2018r), gdy Alek ma już lat 94 a ja 88, tzn. przez 69 lat. Niezależnie od tego, że dzisiaj dzieli nas 1.000 kilometrów.

Z Alkiem poznałem się w niezwykłych okolicznościach. 6 listopada 1949 r. przyjechał do Warszawy „na prośbę władz polskich", wymuszoną na pewno przez Stalina, Konstanty Rokossowski „Marszał sawieckowo sajuza" nazywany złośliwie „pełniącym obowiązki Polaka". Został mianowany Marszałkiem Polski i powołany do rządu w charakterze Ministra Obrony Narodowej, a także na członka KC i Biura Politycznego partii. Był też m.in. członkiem Komisji Biura Politycznego KC do spraw Bezpieczeństwa, obok Bieruta, J. Bermana i St. Radkiewicza, która przygotowała wyeliminowanie z władzy Gomułkę i jego grupę.

Zaczęły się najgorsze lata stalinizmu. Oburzony tym, w gronie kolegów głośno krytykowałem przysłanie do Polski sowieckiego „generał gubernatora". W gronie kolegów znajdował się również Alek Schwider, który zawsze wspomina, że został „porwany" moim wystąpieniem. Od tamtego czasu trwa nasza przyjaźń.

*** * ***

Trochę słów o Rokossowskim, którego nazywam „generał gubernatorem" Stalina w Polsce. Włączam go do moich wspomnień nie tylko, dlatego, że wprowadził w Polsce okrutne rządy stalinizmu-bolszewizmu trwające do roku 1956, ale również dlatego, że w ramach powszechnej nacjonalizacji upaństwowiono wtedy moją uczelnię zmieniając jej nazwę na

Wyższą Szkołę Ekonomiczną o profilu transportu i wprowadzono nakazy pracy w wyznaczonych przez władze przedsiębiorstwach. Prysły marzenia o wspaniałej pracy w handlu zagranicznym- stałem się kółkiem w trybach nakazanej specjalizacji.

Także dlatego, że jego działalność wpłynęła mocno nie tylko na bieżące życie, ale rozpoczęła fatalne kształtowanie charakterów Polaków: „nie wychylać się" w życiu publicznym bo można dostać po głowie. Władza nic dobrego nie zrobi- wręcz odwrotnie. Zły stosunek do pracy. Pogardliwy i jednocześnie zazdrosny stosunek do prywatnych przedsiębiorców: „prywaciarz", „badylarz" w domyśle złodziej. Całe osiedla na terenach do tego wydzielonych i zabudowanych prywatnymi domami nazywano „złodziejówki". Rząd ma nam dać wszystko i to po równo- wszyscy mamy jednakowe żołądki. Nieufność do ludzi- nasilenie inwigilacji i donosicielstwa nawet z błahych powodów np. sąsiad na sąsiada za urojone krzywdy. Świadoma i podświadoma podejrzliwości poznawanych ludzi, czy to, aby nie kapuś, może lepiej nie mieć z nim nic do czynienia. Dotykało to nawet dotychczasowych znajomych. Błyskawiczny rozwój łapówkarstwa- dobrodziejstwo przyniesione z Rosji. Itd. itd.

Tak ukształtowany rodzaj ludzi nazwał niezapomniany ksiądz Józef Tischner, jakże trafnie, dwoma słowami: „homo sowietikus". Wtedy zaczął się ten „homo" kształtować i trwa niestety w umysłach wielu ludzi do dzisiaj.

Życie normalnych ludzi zaczęło zamykać się w ścisłych, przyjacielskich kołach, czy raczej kółkach.

W 1952 r. zostali aresztowani i zasądzeni na karę śmierci dwaj moi koledzy ze Szczebrzeszyna- Jerzy Kurzępa i Tadeusz Klukowski. Szczególnie z tym ostatnim byłem bardzo związany m.in. wspólnym magazynkiem broni. Ciągle miałem „z tyłu głowy", jak się wtedy mówiło, strach czy to nie dojdzie do mnie.

Stalin przysyłając Rokossowskiego był zapewne zawiedziony marnymi postępami wprowadzania socjalizmu w Polsce, ogromnym rozwojem po zakończeniu wojny prywatnych przedsiębiorstw, brakiem kolektywizacji rolnictwa, a także postawą Bieruta, który ślubowanie na urząd prezydenta zakończył zwrotem: „Tak mi dopomóż Bóg".

Przysłał Rokossowskiego, aby „zrobił porządek". Ten zaczął od wojska. Wycofał m.in. z użytku kojarzące się z patriotyzmem narodowym czapki rogatywki i wprowadził w ich miejsce owalne. Zmienił stopnie wojskowe zrównując je z tymi, które obowiązywały w armii sowieckiej i doprowadził strukturę armii polskiej do takiej, jaką miała armia sowiecka. Nakłady na armię sięgnęły 15 % dochodu narodowego kosztem inwestycji cywilnych i odbudowy zniszczonego kraju.

Inne „prace" K. Rokossowskiego to zbrodnicza czystka w wojsku w latach 1949-1956. Aresztowania i procesy skazujące oficerów przedwojennych i walczących na zachodzie, żołnierzy podziemia, szczególnie Armii Krajowej. A także niszczenie „nie prawomyślnej" inteligencji, „kułaków"- właścicieli dużych gospodarstw rolnych, „spekulantów" itd. Ogółem liczba osób poddanych różnym represjom sięgnęła 200 tysięcy. Z tego ponad tysiąc zamordowano, zaś dziesiątki tysięcy i ich rodziny przeżyły gehennę, utraciło zdrowie, mienie itp.

Trzeba tu wymienić jego najbliższych współpracowników w osławionej strukturze Informacji Wojskowej i Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego: Skulbaszewskiego, Różańskiego, Fejgina, Wozniesieńskiego, Światły, który

aresztował m.in. gen. M. Spychalskiego (1950), Gomułkę (1951), marszałka Rolę Żymierskiego (1953) i Prymasa St. Wyszyńskiego (1953). W 1956 r. Rokossowski wprowadził wojsko do Poznania w celu stłumienia protestów.

Po dojściu powtórnie do władzy Władysława Gomółki w październiku 1956, Rokossowski odszedł ze składu Biura Politycznego partii, a 10 listopada został odwołany z funkcji Ministra Obrony Narodowej. Zaproponowano mu pozostanie w Polsce i przyznano dożywotnią rentę równą dotychczasowym poborom. Rokossowski odmówił i wraz z kilkuset sowieckimi „doradcami" wyjechał do ZSRR- bał się zapewne poniesienia konsekwencji za swoją działalność.

Z drugiej strony ten rdzenny Polak, szlachcic, zbrodniczy bolszewik z wyboru, jest zaliczany do najwybitniejszych, a przez wielu uważany nawet za najwybitniejszego dowódcę II wojny światowej. Oto, co powiedział o nim słynny brytyjski marszałek Bernard Law Montgomery: „Ja sam przebiłem sobie drogę przez Afrykę i uczestniczyłem w wielu bitwach. Myślę jednak, że to, co osiągnąłem, nie dorównuje temu, co osiągnął marszałek Rokossowski".

Profesor Paweł Wieczorkiewicz: „W opinii historyków z pochodzenia autentyczny Polak, ale obywatel Związku Radzieckiego z wyboru. Okazał się jednym z najwybitniejszych dowódców sowieckich II wojny światowej, może, jak sądzi wielu historyków, najwybitniejszym. Dlatego w operacjach alianckich II Wojny Światowej jego operacja „Bagration" jest wymieniana, jako przykładowa, a Konstanty Rokossowski, jako jeden z najwybitniejszych dowódców II Wojny Światowej. I jest to chyba werdykt sprawiedliwy. Rokossowski potrafił nie tylko bardzo umiejętnie dowodzić, ale minimalizował straty żołnierzy, czego nie można powiedzieć o Żukowie czy Koniewie".

Z rozbitych i uciekających po rozpoczęciu wojny jednostek sowieckich oraz naprędce stworzonej na wschodzie ZSRR dywizji Panfiłowa sformował szybko 16 armię, która w kilkunastodniowych walkach pod Wołokołamskiem zatrzymała niemiecki pochód na Moskwę i uratowała ją przed zajęciem przez Niemców. To on zwyciężył w bitwie pod Stalingradem uważanej powszechnie za przełom w wojnie i w największej bitwie pancernej w II wojnie światowej na tzw. Łuku Kurskim gdzie walczyło z obu stron ponad 1.500 czołgów.

A opracowana i wyśmienicie dowodzona przez niego „Operacja Bagration" nie miała nigdy i nie ma do dzisiaj równych sobie w świecie.

Urodził się 9 grudnia 1896 w Warszawie. Podobno we wszystkich wojskowych i cywilnych dokumentach tożsamości ZSRR, w obowiązkowej tam do dzisiaj rubryce narodowość podawał: Polska. Podobno Stalin powiedział o nim, że pochodzi z szlachty polskiej, jak Dzierżyński, tylko ten drugi był twardszy.

Był synem polskiego kolejarza Ksawerego (zm. 1902) i nauczycielki z Pińska, Antoniny Owsiannikowej z drobnej szlachty rosyjskiej (zm.1911r.) Spoczywają oboje na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie- kw. 15G, rząd 1, grób 6.

Wywodził się ze starej szlacheckiej rodziny wielkopolskiej herbu, Glaubicz, która przyjęła nazwisko od miejscowości Rokosowo koło Leszna. Ród Rokossowskich jeszcze na początku XIX wieku liczył się w sferach ziemiańskich- stopniowo jednak ubożał. Pradziad Konstantego Józef, był porucznikiem 2 Pułku Jazdy Księstwa Warszawskiego, co w dokumencie potwierdził własnoręcznym podpisem minister wojny Książę Józef Poniatowski. Dziadek Wincenty Rokossowski nie miał już ani własnej ziemi, ani

dworu. Był rządcą majątku Stok, w powiecie Ostrów Mazowiecka. Za udział w ruchu niepodległościowym i Powstaniu Styczniowym siedział w warszawskiej Cytadeli.

Po śmierci rodziców z braku środków do życia młody Konstanty zatrudnił się wraz z siostrami Marią i Heleną w fabryce pończoch na Woli. Tam zetknął się z ruchem socjalistycznym. Za udział w pochodzie 1 maja 1912 roku trafił do więzienia na Pawiaku. Po sześciotygodniowym pobycie za kratami wyszedł na wolność. Zamierzał wrócić do pracy, ale właściciel fabryki nie chciał go już zatrudnić. Zaczął terminować w zakładzie kamieniarskim, u Stefana Wysockiego męża jego ciotki Zofii.

W tej sytuacji w 1914 r. wstąpił ochotniczo (miał dopiero 18 lat) wraz ze swoim warszawskim, socjalistycznym mentorem Adolfem Juszkiewiczem, być może nawet za jego namową, do carskiej armii. Przydzielono go do 5-go Kargopolskiego Pułku Dragonów 5 dywizji kawalerii, w której skład wchodziły jeszcze: 5 Litewski Pułk Ułanów, i 5 Doński Pułk Kozaków. „Wojna okazała się – napisał później Rokossowski – zupełnie niepodobna do książkowych batalii. Zrozumiałem, że w ostatecznym wyniku każda wojna jest ciężką próbą dla ludzi". Walczył jednak dzielnie, był dwukrotnie ranny na froncie, trzy razy odznaczono go za odwagę Krzyżem Świętego Jerzego. Skończył szkołę podoficerską.

W mndurze marszałka Polski

W 1918, w czasie rewolucji październikowej doszło w jego pułku do rozłamu. Około 100 żołnierzy wstąpiło do gwardyjskiego oddziału Armii Czerwonej, pozostawiając nazwę „kargopolski". Na dowódcę wybrali Adolfa Juszkiewicza- na jego zastępcę Konstantego Rokossowskiego. Walczył

Rokossowski z Kołczakiem i na dalekim wschodzie z białogwardyjską armią kurlandzkiego barona Ungerda von Sternberga, jako dowódca dywizjonu a potem pułku kawalerii.

W 1919 wstąpił do Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików). We wrześniu 1924, jako dwudziesto ośmioletni dowódca 27 pułku kawalerii z Zabajkala, został skierowany do Wyższej Szkoły Kawalerii w Leningradzie, którą w 1925 r. ukończył wraz z Georgijem Żukowem. W latach 1926-1928 był instruktorem armii rewolucyjnej w Mongolii. W 1930 mianowany dowódcą 7 Samarskiej Dywizji Kawalerii, a później 5 Korpusu Kawalerii w randze komdywa- gen. dywizji.

17 sierpnia 1937 stał się ofiarą stalinowskich czystek w Armii Czerwonej. Stalin bardzo „przerzedził" korpus oficerski szczególnie wśród wyższych szarż. Wystarczy powiedzieć, że z ośmiu marszałków pięciu zostało rozstrzelanych. Wszyscy oni byli bardzo znani, popularni, i prawdopodobnie stanowili wg Stalina konkurencję. Rokossowski oskarżony został o szpiegostwo dla wywiadu japońskiego i polskiego. W czasie śledztwa wybito mu 9 przednich zębów, złamano 3 żebra. W więzieniu Kresty w Leningradzie przebywał od 17 sierpnia 1937 do 22 marca 1940. Pomimo tortur podobno nie przyznał się jakoby miał być „polskim szpiegiem".

Jego żonę z córką skierowano na osiedlenie do Armawiru w kraju Krasnodarskim.

Po niepowodzeniach Armii Czerwonej w wojnie fińskiej, spowodowanych m.in. brakiem doświadczonych dowódców, Stalin pośpiesznie uwolnił z więzień żyjących jeszcze oficerów. W marcu 1940 Rokossowski został zwolniony z więzienia, wysłany do sanatorium na Krymie i przywrócony do służby wojskowej. W czerwcu 1940 r. minister obrony Siemion Timoszenko wyznaczył go na dowódcę 9 Korpusu Zmechanizowanego. Z tym korpusem uczestniczył „w misji wyzwoleńczej Besarabii spod panowania rumuńskiego". Od 1918 r., kiedy miał 22 lata, wyspecjalizował się w „wyzwalaniu" i przyłączaniu do Związku Radzieckiego różnych terytoriów.

W dniach drugiej wojny światowej dowodził coraz większymi jednostkami i awansował na wyższe stopnie- 29 czerwca 1944 r. został Marszałkiem ZSSR. Był znany z tego, że na linii frontu zawsze pojawiał się w galowym mundurze. Dwa razy był rany- w jednym przypadku ciężko.

Największą i najsławniejszą operacją drugiej wojny światowej była „Operacja Bagration"- nazwana tak na cześć gruzińskiego generała, który zmusił Napoleona do odwrotu. Była to operacja wiosenno-letnia, która, jak chciał Stalin, miała się rozpocząć 22 czerwca 1944 r., w rocznicę napaści niemieckiej na ZSRR.

Całą operację wymyśli, zaplanował i przygotował Rokossowski w rekordowy czasie od kwietnia do 22 czerwca. Utworzono dwie ogromne jednostki nazwane Pierwszym i Drugim Frontem Białoruskim. Obydwa Fronty liczyły razem około 1,7 miliona żołnierzy, 3.000 czołgów, 24 tys. dział artyleryjskich, 2.000 miotaczy min (słynne „Katiusze") i 6.500 samolotów. Także około 70 tys. samochodów ciężarowych.

Wymagało to wprost nadludzkiego wysiłku i ogromnych zdolności organizacyjnych, aby zgromadzić takie ilości wojska, sprzętu, żywności, amunicji, paliwa itd. itd. w warunkach bojowych i zniszczonego przez cofających się Niemców transportu. Rokossowskiemu udało się to w pełni.

22 czerwca ruszył na zachód od wysokości stolicy Białorusi- Mińska prawie 700 kilometrowej szerokości front. Operacja „Bagration" udała się w pełni. W ciągu 40 dni wojska sowieckie posunęły się naprzód aż o 600 km i pierwszego sierpnia 1944 r. dotarły do Wisły. Tu zatrzymały się do 17 stycznia 1945 r. celem uzupełnienia ludzi, sprzętu, paliwa, żywności i innych potrzebnych do następnego uderzenia rzeczy- uderzenia, które w niecałe 4 miesiące doszło do Berlina.

W wyniku operacji Bagration Wehrmacht stracił kilkaset tysięcy żołnierzy, w tym ponad 250.000 zabitych a jego „Armia Środek" została prawie całkowicie zniszczona. Była to największa klęska Wehrmachtu podczas II wojny światowej.

*** * ***

Po powrocie z Polski do Moskwy pełnił Rokossowski latach 1958-1962 funkcję Wiceministra Obrony ZSRR. Później na krótko objął stanowisko dowództwo Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego w Tbilisi, a pod koniec 1962 r. został zwolniony z zajmowanych stanowisk i do śmierci w roku 1968 był członkiem grupy inspektorów generalnych Armii Radzieckiej.

Jak twierdzi jego żona 70 urodziny obchodził w mundurze polskim. Podobno do ostatnich lat prenumerował polskie gazety: "Trybunę Ludu", "Życie Warszawy", tygodniki ilustrowane, periodyki wojskowe, i rozpoczynał dzień od ich czytania. Lubił słuchać „Mazowsza". Kontaktował się z polskimi oficerami studiującymi na radzieckich akademiach wojskowych. Rozmawiał z generałami WP, przybywającymi z różnych okazji do Związku Radzieckiego. Tak wspomina jego słowa gen. Cymbarewicz: „Ironia służby- w Rosji ja był Polakiem, a w Polsce Ruskim".

Gen. broni Józef Urbanowicz- wice minister Obrony Narodowej „Na sesji naukowej z okazji 50 rocznicy Armii Radzieckiej widziałem marszałka Rokossowskiego po raz ostatni. Prosił, aby w Warszawie otoczyć opieką jego siostrę Helenę".

Zmarł na raka prostaty w roku 1968. Jako wybitnie zasłużony dla ZSRR został pochowany przed murem kremlowskim. W pogrzebie wziął udział Leonid Breżniew. Młodsza siostra Rokossowskiego Helena spędziła całe życie w Warszawie i zmarła tam w 1982 r. Sam Rokossowski miał jedyną córkę Ariadnę. Ariadna wyszła za mąż za Wila (Wil - skrót od Włodzimierz Ilicz Lenin), z którym miała 2 synów - Pawła i Konstantego. Konstanty ożenił się z Ludmiłą Okuniew (wnuczką carskiego generała), z którą mają córkę Ariadnę pracującą, jako dziennikarka. Kiedyś słyszałem ją w polskim radiu- bardzo dobrze mówiła po polsku. Powiedziała, że związana korzeniami z pradziadkiem marszałkiem Konstantym i ojcem też Konstantym upatruje Polskę, jako swoją drugą ojczyznę.

*** * ***

Wracajmu do mojego przyjaciela – Alfonsa Schwidra.

Fot. Damian Schwider

Od lewej 90-letni Alek i 84-letni autor wspomnień

Alek w czasie naszych studiów nie mógł, wg obowiązujących przepisów, używać niemiecko brzmiącego nazwiska- musiał używać nazwiska Świder. Paranoja polskości tzw. Ziem Odzyskanych doprowadziła do tego, że na niektórych cmentarzach polecono skuć niemieckie napisy na grobach.

Rodzina Schwidrów mieszkała w Zabrzu. Mój przyjaciel nosił popularne na Śląsku imię Alfons, ale w domu i wśród przyjaciół nazywano go Alek. Rodzina składała się z jego rodziców, dwóch sióstr Hany i Marii, oraz dwóch jego młodszych braci Janka i Norberta. Miał także dwóch starszych braci, którzy wcieleni do niemieckiego wojska zginęli na froncie wschodnim. Żal po tej stracie towarzyszył członkom rodziny aż do śmierci.

Ojciec Alka był organistą w katolickim kościele pod wezwaniem św. Andrzeja w Zabrzu. Talent muzyczny odziedziczył po nim podobno jeden z najstarszych synów, kleryk zmarły na froncie wschodnim i młodszy brat Alka- ksiądz Janek. Alek też miał dobry słuch i głos- śpiewał długie lata ciepłym basem w wielu chórach, zaczynając od tego na uczelni, a kończąc w chórze przy akademii muzycznej w Detmold.

Matka- wspaniała kobieta, dobry duch tego domu, na niej spoczywał cały ciężar jego prowadzenia, Hanna farmaceutka, Maria związana z medycyną, brat Janek mój rówieśnik- ksiądz, najmłodszy Norbert sztygar w śląskich kopalniach. Sam Alek po ukończeniu studiów pracował m. in., jako kierownik transportu kopalni „Pstrowski" w Zabrzu.

Alek czuł się, co zawsze z dumą podkreślał, Górnoślązakiem. Tak jak i jego ojciec, który opowiadał mi, że na początku lat 20-tych ubiegłego wieku, gdy Polacy opanowali Zabrze musiał się ukrywać, gdyż uważali go za Miemca, jak wrócili Niemcy musiał się ukrywać uważany za Polaka. Do dzisiaj cierpi ten los wielu Górnoślązaków.

Fot. Damian Schwider

Alek, Janek i Norbert nazywają mnie żartobliwie „bratem czwartym". Narada „Czterech braci", od lewej Norbert, ja, Alek, tyłem Janek. Uroczystości 90-lecia Alka—31 lipca 2014 r.

W Zabrzu, należącym przed wojną do Niemiec, ukończył Alek gimnazjum klasyczne mające w programie m.in. język łaciński. Znajomości łaciny i wrodzony słuch muzyczny pomogły mu w nauczeniu się języka angielskiego i francuskiego.

Gorzej było na studiach. Tak wspomina on swoje boje z językiem rosyjskim:

„Na pierwszym roku studiów przedmiotem obowiązkowym był język rosyjski. Lektorką była profesor Danejko, przemiła osoba. Na jej wykładach jednak czułem się, jak na „tureckim kazaniu". Przy czytaniu rosyjskich tekstów przyszła kolej na mnie. Cyrylica była dla mnie, jak egipskie hieroglify-komilitoni czując moją beznadziejną sytuację podpowiadali mi brzmienie rosyjskich słów. Moja próba powtórzenia egzotycznych dla mnie dźwięków wywoływały eksplozję wesołego śmiechu całej sali. Pani Danejko uśmiechała się również. Dziękując za moje trudy poprosiła następnego czytelnika. Przed końcem kursu językowego poprosiła mnie do swojego lektoratu i wpisała do mojego indeksu notę: DOSTATECZNIE !

Lepiej poszło mi z językiem niemieckim, chociaż tutaj pewne zdziwienie wywołuje otrzymany stopień. Lektorat języka niemieckiego prowadzony był przez panią dr Frankowską. Była bardzo wymagająca dla studentów. Zdobycie od niej oceny „dostateczny" było wielkim problemem, szczególnie dla starych studentów. Krótko po moim pierwszym udziałem na jej wykładach zorientowała się, że nie mam żadnych problemów z gramatyka, pisownią i wymową tego germańskiego języka. Zaproponowała mi poprowadzenie próbnej lekcji, podczas której brała udział, jako studentka. Krotko po tym zachorowała i nie

było jej przez dłuższy czas, tak, że ja prowadziłem lekcje do końca semestru. Współpraca z moimi studentami była przyjemna i, jak mi się wydawało, owocna. Jako wynagrodzenie za moją pracę pani dr Frankowska załatwiła mi bezpłatne obiady w stołówce. Dla biednego i zawsze głodnego studenta był to dar nieba. Egzaminy i cenzusy były jednak wyłącznie sprawą dr Frankowskiej. Ja również poddałem się egzaminowi końcowemu i uzyskałem stopień: DOBRY"

Widocznie pani Frankowska hołdowała zasadzie, że na stopień bardzo dobry zasługuje jedynie wykładowca.

Nasz kolega Leon Sukiennik uzupełnia, że pani Frankowska zachorowała nerwowo, gdy rozwścieczeni studenci wywieźli, czy chcieli ją wywieść na taczkach. Przyjmowała grupy studentów do egzaminów w szpitalu i tam, po kilka kolejnych razy z rzędu oblewali egzamin. Doszło do tego, że Leon w swoim indeksie, jak i inni studenci, ma wpis i pieczątkę rektora Babińskiego: „Wyniki egzaminu unieważnia się".

Alek śpiewał piękny, aksamitnym, głębokim basem w mieszanym chórze uczelnianym. Chór założył i prowadził nasz kolega z roku Janek Janikowski późniejszy twórca niezapomnianego chóru „Filipinki". Alek tak to wspomina: „Śpiewaliśmy aktualne wtedy pieśni polskie i rosyjskie. Jeden wyjazd utkwił mi w pamięci. Amerykańskim samochodem ciężarowym przykrytym plandeką jechaliśmy do PGR-u gdzieś w szczecińskie. Pracownicy i ich rodziny patrzyli na nas, jak na ludzi z innego świata. Na centralnym placu otoczonym częściowo zniszczonymi budynkami gospodarczymi i zameczkiem, pod gołym niebem stało kilka traktorów. Ale tylko jeden był na chodzie. Traktorzysta oświadczył nam: „Brak części zapasowych". Po naszym występie kobiety częstowały nas pyszną maślanką. Kierownik PGR dziękował za występ i prosił o następny przyjazd".

Popularność na uczelni uzyskał jednak Alek śpiewając w cztero osobowym chórze tzw. rewelersów. Ten chór też prowadził Janek Janikowski- reemigrant z Francji- dawał piękne jazowe koncerty na fortepianie. Do dzisiaj pamiętam jeszcze ruchy jego rąk, tułowia przy wykonywaniu różnych fraz. Zetknąłem się z nim w niewiarygodnych okolicznościach. Kiedyś, w jakieś szczecińskiej knajpie podeszło do mnie dwóch dość młodych ludzi i poprosili, aby „postawić" im pół litra wódki. Tłumaczyli, że są dalekomorskimi rybakami, dopiero kilka godzin temu wrócili z półrocznych połowów gdzieś na południowej półkuli i nie mają jeszcze ani grosza. Jutro mają wypłatę i pieniądze oddadzą. Wypiliśmy wódkę i umówili na jutro w tej samej knajpie. Poszedłem nazajutrz z myślą, że zostałem naiwnie wykiwany. O dziwo marynarze czekali, postawili doskonały obiad i zaprosili na następny dzień na obiad na statku. Okazało się, że jest to ogromny dalekomorski trawler, a kucharzem jest…mój krajan z Chełma. Przez prawie dwa tygodnie jadłem obfite, marynarskie ponad 2.000 kalorii liczące obiady. Razem ze mną jadał…Janek Janikowski, z jakiej okazji nie wiem. Zostały po tym wspomnienia i fotografie z marynarzami.

Dalej wspomina Alek: repertuar chóru uczelnianego był taki codzienny, np., „Bo tu Marszałkowska i trasa WZ, Krakowskie Przedmieście, tunel i wnet, na lewo most na prawo most a dołem Wisła płynie, autobusy czerwienią migają, zaglądają do okien tramwajom".

Więcej niż autobusów do okien tramwajów zaglądało końskich furmanek. W tamtych latach, tuż po wojnie, Warszawę odgruzowywano przeważnie

ręcznie a transportem były furmanki. Pomimo tego wisiał w powietrzu jakiś taki pozytywny nastrój. Radości nieuświadamiana i niewypowiadana- a jednak po straszliwej wojnie żyjemy. Wszyscy rzucili się do jakiejś działalności, ruszały uruchomiane fabryki, warsztaty rzemieślnicze, handel w sklepikach, byłe jak skleconych budach, na bazarach i ulicy. Ruszyły szkoły powszechne i zamknięte podczas wojny średnie z przedwojennymi programami. I wreszcie uczelnie. Powszechnie, w ogromnych ilościach szła do nich młodzież i ta młoda, i ta trochę starsza, której wypadło z nauki kilka wojennych lat. Młodzież, szczególnie wiejska, rzemieślnicza, robotnicza, która w przedwojennych warunkach nie miałaby żadnych szans na zdobycie wykształcenie wyższego niż podstawowe. Żyjący jeszcze przedwojenni reżyserzy kręcili filmy, ruszyły teatry, pisarze wydawali książki pisane w czasach okupacji do szuflady itd. itd. Potem przyszedł stalinizm. Nastały ponure zimne czasy.

Drugi taki okres przeżyłem po roku 1990-tym. Te chodniki zastawione tysiącami straganów, tzw. szczękami gdzie handlowano, czym się da…

*****

*** ***

Zajęcia na uczelni nie były bardzo absorbujące, na wykłady starałem się chodzić dosyć regularnie, szczególnie dlatego, że nie było podręczników i trzeba było polegać na własnych notatkach.

Zdecydowana większość słuchaczy pierwszego roku ukończyła licea handlowe, w których w odróżnieniu od ukończonego przeze mnie liceum ogólnokształcącego, nie było lekcji chemii tak potrzebnej w towaroznawstwie. Dzięki temu na pierwszych ćwiczeniach w Zakładzie Technologii i Towaroznawstwa prowadzonych przez panią profesor Marię Szulc wyraźnie się wyróżniłem. Pani profesor zaproponowała mi zajęcia asystenta- wolontariusza w swojej Katedrze, z tym, że być może w przyszłości zatrudni mnie na etacie.

20.IV.1950 r. byłem po raz pierwszy na ćwiczeniach, jako asystent. Zacząłem od wyczytania listy obecności pisanej ręcznie i niewyraźnie. Było tam nazwisko m. In. Stanisław Kita. Wydawało mi się, że napisane jest Kiła. Zawiesiłam głos, co sprawiło, że wyglądałem na stremowanego. Pomógł mi właściciel nazwiska, o którym będzie jeszcze mowa w dalszej części moich wspomnień.

Ćwiczenia prowadziła osobiście pani prof. Szulc. Nieraz po kolei dla trzech grup, razem 6 godzin. Trzeba było siedzieć wraz z innymi asystentami i po raz trzeci wysłuchiwać tego samego wykładu. Tak prof. Szulc szkoliła nas w zakresie wiedzy i dydaktyki. Na kolokwiach z towaroznawstwa pomagałem studentom jak mogłem, a kilka prac sam napisałem. Prof. Szulc zwracała mi uwagę, abym tego nie robił.

W dniu 1-go maja 1950 r. odbył się pochód pierwszomajowy. Nasza uczelnia brała w nim udział, ale jeszcze bez sprawdzania obecności. Ulokowałem się na jakimś tarasowym dachu kamienicy przy głównej ulicy i oglądałem pochód- ludzie szli kilka godzin.

6-go czerwca zrobiła mi prof. Szulc specjalny egzamin, który zdałem pomyślnie- miałem nadzieję, że zbliżam się powoli do etatu.

Niewiele, lub nic nie piszę o samych studiach, gdyż toczyły się znanym trybem: wykłady, ćwiczenia, kolokwia, egzaminy.

W 1950 r., w ramach socjalistycznej przebudowy Polski, Akademię naszą upaństwowiono i przemianowano na Wyższą Szkołę Ekonomiczną o profilu transportowym. Tak odczuliśmy pierwsze działania socjalizacji kraju.

Teraz jej nazwa brzmiała:

Wyższa Szkoła Ekonomiczna
W Szczecinie ul Mickiewicza 66

Po powrocie z wakacji w sobotę 2-go września 1950 r. byłem „ważny". Pilnowałem wraz z innymi, m.in. prof. Pohorilesem, sali ze zdającymi egzamin wstępny kandydatami na studentów. Tematy mieli dość trudne i sporo napisało głupstwa. Jedna z dziewczyn błagała mnie pomoc. Ukradkiem wiele jej pomogłem.

Doszły dwa przedmioty ideologiczne, marksizm-leninizm wykładany przez prof. Pohorilesa i kultura ZSRR wykładaną początkowo przez zapomnianego już wykładowcę-idiotę w języku rosyjskim. Szybko sprowadziliśmy go, mówiąc językiem bokserskim, „do parteru". Wprowadzono dyscyplinę- utworzono grupy, które musiały brać obowiązkowy udział w ćwiczeniach w poszczególnych katedrach- sprawdzano na nich obecność.

Najbardziej groźna zmiana dotyczyła egzaminów. Jak pamiętamy poprzednio student mógł przystępować do egzaminu teoretycznie nieskończoną ilość razy. Obecnie po dwóch oblanych egzaminach następował trzeci, ostatni- komisyjny. W przypadku jego nie zdania egzaminowany był wykreślany z listy studentów.

Moja grupa ćwiczeniowa. Na dole siedzi kolega Łukasik, którego w kilkanaście lat później spotkałem w Warszawie, jako prezesa spółdzielni złotników, nad nim z pochyloną głową stoi asystent--nie pamiętam już, z jakiej katedry—opiekun naszej grupy. Po jego lewej ręce nad patrząca w dół koleżanką, widać dwie głowy: z lewej Irek Moszner, z prawej ja. Na zdjęciu trzeci od prawej trzymający papierosa to Gienek Krupski, który pomógł mi znaleźć mieszkanie.

Sprawa mojej asystentury nadal nie ruszyła z miejsca. Nowy rektor prof. Pietrzyk nie podejmował decyzji. Na uczelni zaczęła działać komórka partyjna i wszechwładny AZMP- Akademicki Związek Młodzieży Polskiej, przybudówka partii. Starszy asystent z naszej katedry „uczestniczył w jego pracach". Na

moją prośbę o zwolnienie z zajęć, „gdyż idę na prawo", ze złośliwością powiedział: radzę iść na lewo, a nie na prawo. Upewniało mnie to, że z asystentury nic nie będzie. Za kilka dni asystentem został jakiś student z Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

Zaczęliśmy z Alkiem szukać wspólnego mieszkania. Wybraliśmy z kilku jedno- to, do którego zachęcał mnie Gienek Krupski kolega z grupy. Znajdowało się na Pogodnie- ulica Małgorzaty Fornalskiej 13. Pogodno była to dzielnica willowa, cicha i spokojna z dużą ilością zieleni, poza głośnym śródmieściem. Wybudowana, jak się zdawało dla ludzi zamożniejszych. Nasz pokój był na parterze szeregowego segmentu od strony niewielkiego ogródka. Drugi pokój, od strony cichej ulicy (nie było jeszcze samochodów prywatnych tylko nieliczne motocykle) zajmowali koledzy z naszego roku Gienek Krupski i Leon Sukiennik. Mile się z nimi mieszkało. O sobie i Gienku pisze mi Leon:

„ Pamięć już nie taka, jak za młodych lat (87 lat na karku), ale spróbuję coś napisać o Gienku Krupskim i sobie.

Gienek ukończył Liceum Ogólnokształcące o kierunku biologiczno-humanistycznym, a ja matematyczno- fizycznym w Radomsku. Jak to bywało w małym miasteczku wszyscy się znali, a szkoły utrzymywały kontakty towarzyskie. Panie polonistki często wystawiały sztuki w obsadzie międzyszkolnej. Gienek wysoki, czarnowłosy wesoły młodzieniec prawie zawsze otrzymywał role amanta.

Po maturze tak „humaniści", jak i „matematycy" wylądowali na uczelniach Łodzi, Warszawy i Wrocławia- medycyna, prawo, politechniki i uniwersytety. Zastanawiałem się nad kierunkiem studiów. Spotkany Gienek zaproponował wyjazd do Szczecina i studia w Akademii Handlowej, argumentując, że jest tam kierunek Handlu Zagranicznego, a w przyszłości atrakcyjna praca. Miał zawsze „smykałkę" do robienia interesów- przerwał studia po 2-gim roku i odbył służbę wojskową. Po wojsku założył rodzinę, wybudował dom i mieszkał w Radomsku. W Rudnikach k/Częstochowy prowadził w wytwórnię materiałów budowlanych. Wapno, betony, pustaki itp. Bardzo dobrze prosperował. Zmarł na początku 90-tych lat XX wieku.

Do Szczecina przyjechałem 28 czerwca 1949 r. w przeddzień święta Piotra i Pawła- wtedy jeszcze to święto kościelne było świętem państwowym i uczelnia była zamknięta. Naprzeciwko uczelni, Akademii Handlowej przy ulicy Mickiewicza znalazłem akademik, który też był zamknięty. W piwnicy akademika był stary, wyrzucony tapczan i na nim przespałem noc. Wychodząc rano spotkałem studenta ze starszych lat, który zapytał mnie, co ja tu robię. Wyjaśniłem, że nocowałem, bo przyjechałem, aby złożyć dokumenty na uczelnię Na druga noc zaprosił mnie do swojego pokoju, gdzie było wolne łóżko, bo jego współlokator wyjechał już do domu. Co za wspaniałe spanie. Rano, zanim się obudziłem, kolega ten skoczył do piekarni po świeże bułeczki i mleko. Byłem mu niezmiernie wdzięczny.

Rano złożyłam papiery i wróciłem do Radomska, skąd 2 lipca maturzyści udali się, jako junacy „Służby Polsce" do Nowego Dworu Gdańskiego. Jechaliśmy w towarowych wagonach. Pracowaliśmy na Żuławskich polach, na których nie było widać zboża i buraków z wybujałych chwastów i ostów. Rowów melioracyjnych nikt nie wykaszał. Niewiele z tych żyznych gleb zebrano plonów. Były to zmarnowane dwa miesiące.

Egzaminy wstępne zdawałem w związku z tym dopiero we wrześniu. Pierwsze noce w akademiku przy ulicy Ku Słońcu spałem w dużej sali na

rozłożonej słomie. Było nas około 20-tu. Po kilku dniach Gienek, ja i Franek Dobrowolski z Dzierżoniowa dostaliśmy 3-osobowy pokój na pierwszym piętrze ze szczytowym oknem. Były tam już łóżka z materacem na siatce.

Nie będę opisywał życia w akademiku, bo doskonale to zrobiłeś. Wspomnę tylko o stołówce, do której można było dostać bony „Bratniaka" na obiad. (Bratniak- przedwojenna akademicka organizacja pomocowa istniał jeszcze do czasu upaństwowienia naszej Uczelni). Jak się miło uśmiechnęło do dziewczyny wydającej posiłki, to czasem znalazłeś dwa mielone pod kapustą. Śniadania i kolacje trzeba było robić samemu. Przeważnie w barze mlecznym, przy wejściu na teren akademika. Brało się dwie duże bułki- mówiło się 2 bose proszę i litr mleka.

Uczelnia była prywatna, obowiązywało czesne. Z domu nie mogłem liczyć na żadną pomoc- od czasu do czasu otrzymywałem paczkę. Trzeba było dorywczo pracować. Oto kilka przykładów mojej pracy na pierwszym roku studiów:

- zbijanie skrzynek na owoce w Spółdzielni Owocowo- Warzywniczej, praca na akord

- sprzedawanie choinek przed Świętami Bożego Narodzenia na stoisku za murem Cmentarza Centralnego

- statystowanie w Teatrze Polskim- płatne po 8 zł w czasie prób, i 15 w spektaklu. Dla porównania obiad tzw. popularny 8, klubowy z kompotem 15 złotych.

- w porcie, jako robotnik- doker, przy przeładunkach drobnicy, węgla, apatytów, fosforów i innych towarów. Praca przeważnie późnym popołudniem, lub nocą. Praca w porcie była bardzo dobrze płatna. Codziennie wpisywano do tzw. lisy płac kwoty zarobku, a lista ta służyła okazicielowi m. in. za bilet komunikacji miejskiej. Nie wiem jak Zarząd Portu rozliczał się z miastem za te przejazdy. Dla studenta była to bardzo wygodna sprawa. W pracach tych uczestniczyli też Gienek Krupski, Franek Dobrowolski, Wit Bartosiewicz i wielu innych kolegów. Franek był synem Polaka i Ukrainki od niego dowiedziałem się o tym, co działo się na Wołyniu i Podolu.

Na drugim roku studiów utrzymywałem się z różnych prac, a trochę z pieniędzy, które wpływały od Heńka Cieślika za kupowanie dla niego różnych artykułów. Kiedyś w sklepie bławatnym byliśmy we trzech i poprosiliśmy o 9 merów wełny bielskiej w jednym kawałku, tłumacząc, że szyjemy ubrania u tego samego krawca. Pani sprzedawczyni dziwnie na nas patrzyła, ale odcięła cały kupon. Heniek był wniebowzięty- odpalił większy procent.

Na trzecim roku pracowałem, już na etacie w Oddziale Wojewódzkim Spółdzielni Inwalidów w charakterze kierownika Sekcji Inwestycji. Zaopatrywałem spółdzielnię w niezbędny sprzęt do pracy.

Po skończeniu studiów dostałem nakaz pracy do Państwowej Komunikacji Samochodowej – PKS. Przed podjęciem pracy wg. nakazu, nasz kolega Kluzek, wybitny szczeciński lekkoatleta, pracownik Domu Marynarza przy Polskiej Żegludze Morskiej, otrzymał 3- miesięczny angaż do Legii Warszawa celem wzmocnienia sztafety czterosetmetrowców i zaproponował mi na ten okres zastępstwo. Zgodziłem się. Kluzek został nadal w wojsku dochodząc do stopnia pułkownika, a ja w PŻM, w której przepracowałem 44 lata, ostatnie 4 lata, jako Przewodniczący Rady Pracowniczej. Oczywiście na prośbę PŻM zmieniono mi nakaz pracy.

W pewnym sensie moje plany i marzenia o Handlu Zagranicznym zrealizowałem, bo PŻM uprawia żeglugę- transport morski- na całym świecie.

Byłem, jestem i będę wdzięczny Gieńkowi za propozycję studiowania w Szczecinie. Tutaj założyłem rodzinę, znalazłem ciekawą pracę w dużej firmie nadal znakomicie prosperującej i zrealizowałem swoje plany życiowe. Szczecin piękny zielenią uważam za swoje miasto".

Jak różne były motywy rozpoczęcia studiów w naszej Akademii i warunki, w jakich przyszło nam studiować, opisuje mi mój następny przyjaciel- Antoni Bibro mieszkaniec Cieszyna. Były z-ca dyr. oddziału PKS w Cieszynie, później długoletni dyrektor przedstawicielstwa PKP i PEKAES w Wiedniu:

„W styczniu 1949 r. uzyskałem maturę w Liceum Administracyjnym w Cieszynie i w kwietniu wyjechałem do Szczecina, bowiem tam znajdowała się liczna grupa starszych kolegów głównie z Zaolzia. Młodzież ta wywodząca się z tamtejszej polskiej inteligencji, bez perspektywy dalszej edukacji w Czechosłowacji, wybrała Szczecin za swoje nowe okno na świat, a Akademię Handlową, jako główną uczelnię.

Oczekując na początek roku akademickiego bez problemów znalazłem mieszkanie przy ul. Traugutta 90, jeden przystanek od naszej Akademii na ul. Mickiewicza nr 66, oraz pracę w księgowości w Centrali Krajowych Surowców Włókienniczych przy ul. Pocztowej 1, też bocznej ul. Mickiewicza, co powodowało, że mieszkanie, miejsce pracy i przyszła uczelnia były skoncentrowane na jednej osi.

Na początek zarabiałem około 20 tyś. złotych (!!! prawie 3 uczelniane stypendia, dwie nauczycielskie pensje- uwaga RK), awansując i sporządzając kwartalne bilanse centrali i licznych placówek terenowych, które składałem w Łodzi latając samolotami DC 3 z lotniska Szczecin-Dąbie z międzylądowaniem w Poznaniu. Z domu przywiozłem ze sobą gitarę koncertową marki Gibson o zwiększonym „pudle" i pięknym brzmieniu, która wraz z moim zamiłowaniem do śpiewu umilała nam życie, w coraz to większym towarzystwie mieszanym, podczas zabaw i mile spędzanych, niezapomnianych chwil.

Tosiek z gitarą

Szczególnie umuzykalnionym kolegą był Rudolf Flak, z którym aby być „na bieżąco" w światowych hitach muzycznych słuchaliśmy z zapałem każdego czwartku o 20- tej. "Schlager der Woche " na stacji RIAS Berlin (Radio im

amerikanischen Sektor). W ten sposób, że Rudek notował melodię a ja słowa. Byliśmy wówczas pionierami zachodniej muzyki, którą Rudek bezzwłocznie reprezentował na pianinie w auli uczelnianej, ale jeszcze lepszy od niego był Cezary Fabiński. Tak już w latach 50- tych nie obcy nam był „Tajemniczy uśmiech Monalisy- Dein geheimnissvolles Lächeln Monalisa".

Moja gitara i mój akompaniament spodobał się Jasiowi Janikowskiemu, późniejszemu twórcy słynnego zespołu „Filipinki", a ówcześnie dyrygentowi orkiestry i chóru uczelnianego, który zaangażował mnie i w ten sposób uczestniczyłem w festiwalu orkiestr i chórów wyższych uczelni w teatrze Słowackiego w Krakowie. Nie zdobyliśmy medalu, ale samo wystąpienie na deskach takiego teatru dało nam satysfakcję.

Wspominając chwile muzyczne z tamtych lat nie mogę pominąć piosenki śpiewanej pięknym basem. "Good night Irene .....I see You in my dream" przez Alfonsa Świdra (Alek Schwider). Pamiętam to do dziś i często nucę.

W 1952 roku nasza orkiestra w zmniejszonym składzie została na trzy miesiące- lipiec, sierpień i wrzesień zatrudniona do koncertowania w nadmorskim Pobierowie. Mieliśmy tam nie tylko bezpłatne wyżywienie i noclegi, ale otrzymaliśmy spore wynagrodzenie. To, i otrzymane w tym roku stypendium pozwoliło mi na w zrezygnowanie z pracy.

Ostatni po prawej z gitarą Tosiek

13 września 1950 r. zdawałem pierwszy egzamin z "Materializmu dialektycznego i historycznego" z wynikiem „niedostateczny". Można sobie wyobrazić, co o tym zapisie w indeksie myślałem. Bałem się również, że ten zapis będzie skłaniał kolejnych egzaminatorów do dawania mi niskich ocen. Ale później było coraz to lepiej. W końcu egzamin dyplomowy w dniu 7 lutego

1953 r., jak i ten magisterski w dniu 24 stycznia 1970 r. zdałem z wynikiem bardzo dobrym.

W Szczecinie mieszkałem dwa lata przy w/w ulicy Traugutta z Romanem Macurą z Cieszyna, a później ze Zbigniewem Doniewskim ze Słupska u braci Bednarków pochodzących z Sosnowca, przy ul. Cieszkowskiego 25. Moi najbliżsi koledzy to Karol Polok ze Skoczowa, Jerzy Miecha z Godziszowa i Rudolf Flak z Wodzisławia Śląskiego, później, po zmianie nazwiska, Falkiewicz- profesor finansów.

W trakcie studiów odbyłem 2 praktyki. Jedną w Oddziale PKS na Stawkach 4 w Warszawie w 1951 r., a drugą w kolejnym roku w Centralnym Zarządzie Lotnictwa Cywilnego na ul. Hożej, też w stolicy. Po drugim roku studiów możliwe były następujące specjalizacje: transport morski, śródlądowy, kolejowy, samochodowy i lotniczy. Ponieważ w dość dobrym stopniu miałem opanowany język niemiecki i angielski, często w bibliotece uczelnianej czytałem szwajcarski niemieckojęzyczny „Verkehr" oraz angielski „Flight". Próbowałem dostać się do 10-cio osobowej grupy transportu lotniczego, co mi się udało. Ciekawie wykłady prowadził dyrektor ekonomiczny "LOT- u" pan Osowski. W czasie praktyki w Warszawie po zapoznaniu się z moim życiorysem, w którym napisałem, że mój ojciec służył w Armii Andersa uniemożliwiono mi staranie się o pracę w tym przedsiębiorstwie.

Zdążyłem jeszcze dostać się do grupy transportu samochodowego, którą kierował prof. Marian Madeyski, w późniejszych latach dyrektor Instytutu Transportu Samochodowego w Warszawie, ogromny znawca i autorytet w tej dziedzinie. Pisząc u niego pracę dyplomową zakończyłem studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej. W 1970 roku r. na Wydziale Inżynieryjno-Ekonomicznym Politechniki Szczecińskiej zdałem egzamin magisterski.

Czy dzisiejsi studenci i ich najbliżsi wiedzą, co to jest zdobywanie wiedzy za wszelką cenę?”

Nauka jazdy do egzaminu na prawo jazdy w WSE Szczecin- z lewej Antoni Bibro

Studenci z prof. Madeyskim. W drugim rzędzie pierwszy z lewej Antoni Bibro.

Do wspomnień Tośka Bibro mogę dodać, że kiedy pracowałem w latach 60-tych XX wieku, jako dyr. PKS w Zamościu zwrócił się do mnie prof. Madeyski z pewną prośbą. Jego znajoma pani Dybowska prosiła go, aby odnalazł grób jej syna, młodego podporucznika Nowogródzkiej Brygady Kawalerii Władysława Andersa, który zginął w zwycięskiej bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. Prof. Madeyski przekazał mi tę prośbę powołując się na koleżeństwo szczecińskiej uczelni. Odnalazłem ten grób na cmentarzu wojennym we wsi Suchowola. Cmentarz i grób były świetnie utrzymane przez uczniów miejscowej szkoły. Zrobiłem całą serie zdjęć pięknej, pagórkowatej Roztoczańskiej okolicy, cmentarza i grobu. Dostałem list od profesora i długi wzruszający od matki podporucznika, staruszki stałe mieszkającej w Londynie, która odnalazła grób syna pięknie przez młodzież utrzymany.

Później pracując w Centralnym Zarządzie Państwowej Komunikacji samochodowej miałem pewne kontakty z profesorem Madeyskim, jako dyrektorem Instytutu i nabrałem jeszcze większego szacunku do jego wiedzy, zdolności organizacyjnych, dorobku naukowego, niezwykłej elegancji i wspaniałego stosunku do ludzi. Przerastał wszystkich, nawet branżowych ministrów.

*** * ***

Wracam do moich wspomnień. Na parterze naszego domu przy ul. Małgorzaty Fornalskiej, była kuchnia i łazienka, a na piętrze mieszkała pani Maria Kraszewska nasza gospodyni z córką i dwoma synami. Pochodzili z Wołynia, a ich mąż i ojciec zginął pod Monte Cassino.

Mieszkało nam się dobrze. Alek okazał się wspaniałym kolegą, spokojnym, zrównoważonym, zaradnym i doświadczonym życiowo- w tym w życiu grupowym. Organizował wyjścia na imprezy kulturalne np. do filharmonii i teatru m.in. na niezapomnianą komedią „Wodewil warszawski". Również na

koncerty indywidualne np. recital Szpinalskiego, na którym podziwialiśmy jego wspaniałą technikę. Byliśmy też na występie wspaniałego chóru Aleksandrowa. Chodziliśmy na inne imprezy- na torowe wyścigi rowerowe, na wyścigi motocyklowe itp. Także wspólne były sprawy dnia codziennego, jak gotowanie, stołówka na uczelni, czasami obiad w restauracji.

Bywały też wypady na dancing do „Oazy", najbardziej znanego lokalu w ówczesnym Szczecinie. Znajdował się na pierwszym piętrze budynku, w którym na parterze był duży sklep wielobranżowy. „Oaza" słynęła z dobrej orkiestry, grającą jeszcze (potem zabronioną) zachodnią muzykę taneczną, w tym modne wtedy boogie-woogie z nieśmiertelnymi przebojami In The Mood i Chatta Nooga Choo Choo. [„styl gry fortepianowej charakteryzujący się uporczywym, ekscytującym rytmem, mocną figuracją basów, żywym, pełnym ozdobników prowadzeniem prostej melodii, wytworzony w instrumentalnym bluesie przez północnoamerykańskich Murzynów; rodzaj tańca towarzyskiego"- tak informuje encyklopedia]. Jeszcze dzisiaj można je usłyszeć w internecie: Google; Yoytube; Music; Glen Miller.

Do tejże „Oazy" chodziłem także kilka razy z kolegą z Zamościa Tadkiem Szczepańskim, późniejszym wykładowcą architektury w Politechnice Warszawskiej i Basią Kawałko jego narzeczoną, która przyjeżdżała do niego z Wrocławia. Jakiś czas potem byłem na ich ślubie w Zamościu.

Jak zawsze u studentów z finansami było krucho a wielu naszych kolegów pracowało dorywczo np. przy przeładunku towarów w porcie, a nawet na stałe w różnych firmach. Mnie zaproponował stałą pracę kolega Stanisław Kita, o którym powyżej wspominałem odczytując listę obecności podczas pracy, jako asystent- wolontariusz. Były partyzant Batalionów Chłopskich w Kieleckim, działacz Mikołajczykowskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego, był głównym księgowym w Wojewódzkim Związku Spółdzielni Samopomoc Chłopska.

Kilkumiesięczna praca nie polegała na stałej pracy w biurze, lecz po niezbędnym przeszkoleniu, m. in. na okresowych wyjazdach do podległych placówek z pewnymi zaleceniami i instrukcjami, co do pracy komórek księgowych. Spółdzielnie Samopomoc Chłopska prowadziły różnego rodzaju sklepy, sprzedaż nawozów sztucznych, węgla, czasami jakąś produkcję, skup płodów rolnych, itp. W zasadzie wszystko, co było potrzebne do życia i pracy na tych słabo jeszcze zaludnionych terenach pozbawionych transportu publicznego. Z powodu powszechnego braku odpowiednich kadr, przywiezionego z rodzinnych stron „ludzi zza Buga" nawyku XIX wiecznego prowadzenia działalności handlowej, braku znajomości zasad w kierowaniu takimi przedsiębiorstwami, jak spółdzielnie- działano często, jak w przedwojennym sklepiku. Mówiąc przesadnie kasę trzymał prezes spółdzielni w kieszeni a dokumentacja była w rozsypce. W skrajnych przypadkach pakowało się do worka wszystkie dokumenty, wiozło do Szczecina, gdzie próbowano sklecić, jaki taki roczny bilans.

Problemem był dojazd ze Szczecina do tych miejscowości. Do Kamienia Pomorskiego jeszcze możliwy, ale do takich miejscowości jak Myślibórz, Barwinek, Pyrzyce, Choszczno itd. fatalny. Często raz dziennie roztrzęsiony autobus przerobiony z ciężarówki i szukanie noclegu- hotele jeszcze nie istniały. W takich warunkach łatwo było o romanse. Do dzisiaj nie mogę zapomnieć pracownicy sp-ni Samopomoc Chłopska w Myśliborzu, młodej mężatki pochodzącej z Hiszpanii, która przywędrowała do Polski z żołnierzem

armii Andersa. Były żołnierz pracował w Szczecinie i przyjeżdżał do domu na niedziele. Żona z hiszpańskim temperamentem, (dwadzieścia cztery lata i dwoje małych dzieci) mieszkała z matką męża, która wynajmowała pokoje na nocleg. Czy teściowa nic nie wiedziała? Być może, dom był duży każdy spał w osobnym pokoju. Cóż mnie rozgrzesza- miałam dwadzieścia kilka lat. Potem z uśmiechem często delegowano mnie tylko do Myśliborza, bo „dobrze znałem" tamtejszą spółdzielnię. Kilka razy przyjeżdżała ona do mnie do Szczecina.

Jak małe było zaludnienie na tych terenach świadczą Międzyzdroje. Nasz „Bratniak" miał tam dom wypoczynkowy. Kiedyś byłem tam w zimie z moim ciotecznym bratem i jego kolegami, działaczami „Bratniaka". W sporej ilości domów okna i drzwi były pozabijane deskami, a stała ludność Międzyzdrojów liczyła podobno około 300 osób. Władze likwidowały „Bratniak" przekazując jego majątek komunistycznemu Akademickiemu Związkowi Młodzieży Polskiej. Ratowaliśmy z stamtąd, co się dało.

Pomimo opuszczania znacznej części wykładów z powodu pracy i wyjazdów, z egzaminami szło mi nieźle. Pośliznąłem się dopiero na księgowości. Katedrę „Rachunkowości i analizy bilansu" prowadził prof. Terebucha. Dla większości moich koleżanek i kolegów uczących się, jak już pisałem, w liceach handlowych księgowość nie była trudnym tematem, dla mnie okropnym- nie dało się tego opanować na „inteligencję", czyli lekkie bujanie. Trzeba było wykuć na pamięć. A mnie nie chciało wejść do głowy, jaka jest np. różnica pomiędzy księgowością przebitkową a amerykańską, co znaczy winien, ma itp.

Podchodziliśmy do egzaminu z księgowości dwa razy, z negatywnym skutkiem, z przystojnym kolegą Jankiem Miranowskim, którego spotkałem później, kiedy pracowałem w Nowym Targu, jako stałego mieszkańca i pożeracza damskich serc w Zakopanym. Jak wyżej pisałem nie działała już uprzednia zasada praktykowana przez uczelnię prywatną, zdawania aż do skutku. Teraz po dwóch nieudanych podejściach był egzamin komisyjny, a po jego „oblaniu" pożegnanie z uczelnią. Denerwowaliśmy się nie tylko my, ale i dziekan Górski, który nie mógł zamknąć sprawozdania za kończący się rok akademicki, bo być może będzie musiał napisać, że dwóch studentów zostało z uczelni relegowanych. Zjawił się, więc osobiście na egzaminie komisyjnym. Myślę, że komisja odczuła to, jako jego poparcie dla nas, gdyż egzamin poszedł gładko i po kilku bardzo ogólnikowych pytaniach zdaliśmy.

W jakiś czas potem odkryliśmy, że kilkadziesiąt metrów od nas, w mansardowym pokoiku wolnostojącej willi z dość sporym ogrodem, mieszka nasz handlujący kolega z Niedobczyc Henryk Cieślik. W drugim pokoju obok niego mieszka pochodzący też z Niedobczyc syn przedwojennego polskiego policjanta, nasz starszy kolega ze studiów, równolatek Alka, znany polski lekkoatleta, mistrz Polski w dziesięcioboju, Bolek Pachoł. Niedaleko od nich mieszkał następny przybysz z Niedobczyc, student Akademii Medycznej Alfons Grochut. Okazało się, że 7 lutego obchodzi on urodziny, a ja w tym samym dniu imieniny. W najbliższy taki dzień „wydaliśmy wspólne przyjęcie" dla ośmiu osób. Trzeba powiedzieć, że Niedobczyce to wieś niedaleko Rybnika.

Wyprzedzając czas mogę napisać, że utrzymywałem z Alfonsem Grochutem, dla odmiany od Alka Schwidra nazywanym przez nas Ali, przyjacielski kontakty aż do jego śmierci w roku 2008. Przyjeżdżał do nas, byłem już żonaty, w czasie świąt i wakacji, kiedy pracowałem w Rabce, a on był już w Wrocławiu. Nie miał bogatego zaplecza w domu. Często pożyczałem mu

pieniądze- rozliczył się solidnie. Potem, kiedy ja pracowałem w Raciborzu, a on po skończeniu studiów pracował w Knurowie, często u nas bywał. Nie ukrywał przede mną, że chce wydostać się na zachód. W tym celu na ostatnim roku studiów przeniósł się do Wrocławia. Dyplom ze Szczecina, tłumaczył mi, nic na zachodzie nie znaczy, co innego z Wrocławia dawnego Breslau. Zostawił mi część rzeczy na przechowanie i w 1959 r. pojechał na wycieczkę do Berlina. Tam przeszedł (nie było jeszcze muru) do Berlina zachodniego i poprosił o azyl. Przez pół roku był maglowany przez wywiad amerykański i angielski, potem udzielono mu azylu i osiedlił się w okolicach Dusseldorfu. Podjął praktykę, jako ginekolog, w zespole z internistą dr Ociepko, bratem znanego śląskiego malarza prymitywisty.

Utrzymywałem z nim kontakt listowny. Kiedy pracowałem w Raciborzu, przysyłał mi paczki z różnymi artykułami prosząc o ich sprzedanie i przekazanie pieniędzy jego siostrze. Na Ślasku nikogo to nie dziwiło. Po przeprowadzce do Zamościa spostrzegłem, że paczki są staranie przeszukiwane, a potem zaczęło mnie przesłuchiwać UB. Miałem kłopoty przez kilka miesięcy. Dowiedziałem się przy okazji, że jeszcze będąc w Berlinie występował w radiu przeciw ustrojowi w Polsce. Później powiedział mi, że uzależniono od tego udzielenie mu azylu. Mnie UB „poradziło" zerwanie z nim wszelkich kontaktów. Dopiero w 1988 r. podczas podróży służbowej do RFN spotkałem się z nim. Przedtem uzyskałem nr telefonu do niego od jego starszego brata Joachima, który pracował, jako prokurator w Białymstoku.

Ali po wylewie poruszał się na wózku, lub chętnie chodził oparty na moim ramieniu. Bywałem u niego, nieraz nawet po 2 tygodnie. Mieli piękny dom, który kosztował ich 2,5 miliona marek, z basenem i dużym ogrodem. Radość z mojego przyjazdu miała również jego żona Marianna, gdyż chodziłem z Alim na spacery do parku, lub wspominaliśmy dawne czasy. Odciążało to ją od całej masy pytań czy poleceń, jakie jej zadawał. Było to dla niej bardzo absorbujące, gdyż, co chwila odrywało ją od normalnych zajęć domowych. Podziwialiśmy ją z Alkiem Schwidrem myśląc, co powiedziałyby nasze żony, gdyby podczas np. robienia obiadu zawracać im, co kilka minut, głowę nieraz bzdurnymi sprawami. Po polsku umiała tylko kilka zdawkowych słów: proszę, dziękuję itp. A jednak umiała coś więcej. Kiedyś siedzieliśmy z Alim w jego gabinecie, gdzie stał duży zegar. Ali swoim zwyczajem krzyknął do żony, która w tym momencie „szurała garnkami" w kuchni: Marianna, która godzina! Mariana weszła do gabinetu i z całej mocy powiedziała: Kurwa mać i dalej już po niemiecku.

Nigdy ich o to nie pytałem, ale wydaje mi się, że Marianna miała do Polski czy Polaków jakiś uraz. Wychowała się we Wrocławiu. Przeżyła tam całą wojnę, a po niej zapewne gehennę wysiedleń, a może jeszcze coś gorszego. Wiem od Grochuta, że w Niemczech mieszkała z nimi tylko jej mama, być może była jakaś tragedia rodzinna. Grochut mówił to w kontekście tego, że nie lubił teściowej, gdyż była wielką panię i pouczała go jak mają być rozstawione talerze, jak usadawia się gości przy stole itp. Skarżył się też, że Marianna nie chciała nigdy pojechać do Wrocławia. Na kilka miesięcy przed śmiercią zadzwonił do mnie i z jakimś triumfem w głosie powiedział: byliśmy z Marianną we Wrocławiu, odnalazła swoja szkołę, była bardzo zadowolona.

Dr Alfons Grochut- obok jego wspaniała, oddana mu żona Marianna z cukierkiem w ustach. To ona nosiła parasol, żeby chronić męża przed deszczem, a nie odwrotnie.

Lata 80-te XX wieku. Od lewej Marianna Ali i ja. Zdjęcie zrobione w Maastricht w Holandii.

Po śmierci Joachima jego żona, bratowa Alego Jadwiga, sędzia w stanie spoczynku, osiedliła się z córką i dwiema wnuczkami w Warszawie. Było to dla Alfonsa Grechuta okazją do przyjazdów wraz z żoną do Warszawy, w której teraz mieszkałem. Organizowałem im zwiedzanie miasta, Wilanowa, Żelazowej Woli itp., a nawet zawoziłem ich do Białegostoku na grób Joachima.

Grochut był wybitnie inteligentny, erudyta, o szerokim horyzontach i zainteresowaniach, oczytany w literaturze polskiej, także bieżącej, niemieckiej i światowej. W czasie studiów wyśmiewaliśmy go nazywając picuś- glancuś. Zawsze czysty, wyszczotkowany i wyprasowany. Błyskotliwy, dowcipny niepozbawiony złośliwości, w tym duchu potrafił naśmiewać się niekiedy z rozmówcy nie obrażając go.

Na kilka miesięcy przed jego śmiercią sprzedali swój duży dom, i kupili mieszkanie w Dusseldorfie z widokiem na Ren. W jakiś czas potem Grochut zadzwonił do mnie i zaczął mówić cichym i bełkotliwym głosem tak, że z trudem go rozumiałem. Mówił, że jest po niezrozumiałej dla mnie operacji i teraz przyjechał do kliniki po raz drugi, jak zrozumiałem na rehabilitację. Jednocześnie zapraszał mnie do przyjazdu mówiąc, że w nowym mieszkaniu jest przeznaczany dla mnie pokój. Jak mi później opowiadała jego bratowa Jadwiga, był to jego ostatni, jaki wykonał telefon. Miał operację związaną z układem moczowym. Niestety lekarze nie dopilnowali prawidłowego odpływu moczy i Alfons zmarł na skutek zatrucia organizmu przez mocz. Stało się to w renomowanej klinice pod okiem znakomitego profesora.

Kilka lat wcześniej podczas jednego ze spacerów zaprowadził mnie na cmentarz do grobu swojego ojca, który na stare lata mieszkał u niego i tam zmarł. Po chwili odwrócił się od groby i patrząc mi w oczy powiedział: jasny piorun- ojciec umarł, gdy miał 79 lat, a ja mam już 77. Alfons Grochut umarł mając też 79 lat.

*** * ***

Wracam do czasów studenckich. Willa, w której mieszkali Henryk i Bolek przy ul. Ostrawickiej 4 należała do Augustyna (Gucia) i Reginy (Renia) Paszkudzkich, repatriantów, jak się wtedy mówiło. Mieli małego syna Jurka, później urodziła się im córka Leonarda, dziedzicząc imię po babci- matce Gucia. Los sprawił, że Gucio i ja urodziliśmy się tego samego dnia- 28 maja, na dzień św. Augustyna, zaś mój syn i jego córka 4 kwietnia. Różne były tylko lata urodzin. Pochodzili ze Lwowa- jego ojciec był tam profesorem uniwersytetu, zmarł w 1942 r. Matka po repatriacji osiedliła się w jednym z uzdrowisk dolnośląskich. Rodzice Renii zginęli podczas niemieckiej okupacji Lwowa. Dowiedziałem się o tym później podczas jednego z pobytów u nich z moją żoną, lub podczas pobytu Renii u nas w Rabce. Gucio, erudyta o błyskotliwej inteligencji- dzisiaj powiedzielibyśmy o bardzo wysokim IQ, a także kulturze i sposobie prowadzenia rozmów wyniesionych z inteligenckiego, rodzinnego domu. Renia o specyficznej urodzie, praktyczna, zdecydowana- nie chciałoby się zostać jej wrogiem. Zajmowali na parterze jeden duży pokój z kuchnią i jeden pokój na piętrze.

Drugi pokój na piętrze zajmował wraz z żoną i kilkuletnią córką pewien osobnik, podobno oficer marynarki, pijak i awanturnik. W czasie jego pijackich awantur jego żona zabierała córkę i uciekała z domu. Wyżej w dwóch mansardowych pokojach mieszkali Pachoł i Cieślik. W piwnicy był piec centralnego ogrzewania. Opisuję to tak dokładnie, bowiem kilka miesięcy po

tym rozegrał się dramat. Gucio, zajmujący się wg socjalistycznego prawa nielegalnymi transakcjami, został aresztowany. Jego żona spodziewając się rewizji przekazała nam, przez Heńka, pudełko z dolarami z prośbą o ukrycie. Po kilku dniach okazało się, że oficer marynarki, jak napisałem powyżej pijak i awanturnik, chce Paszkudzkim zając ich pokój na piętrze. Paproszono nas, Alka i mnie, o zamieszkanie w tym pokoju. Tak zrobiliśmy, ale pokoju nie uratowaliśmy- niestety pijak zdobył go poprzez decyzję urzędu kwaterunkowego, który uznał, że Renia Paszkudzka z synem i jej sublokatorzy mają dość przestrzeni życiowej- duży pokój na dole z wyjściem na ogród i kuchnię, oraz dwa pokoje w mansardzie. Alek wprowadził się do większego pokoju do Bolka Pachoła, a ja do maciupkiego pokoju, w którym mieszkał Heniek Cieślik.

Na szczęście Heńka prawie nigdy nie było i w zasadzie mieszkałem sam. Mieszkało się nam tam bardzo dobrze. Kuchnia na dole była dużo obszerniejsza niż u pani Kraszewskiej, można było nie tylko ugotować herbatę.

„Mansardowi" mieszkańcy domu przy Ostrowickiej 4. Od lewej mistrz polski w dziesięcioboju Bolesław Pachoł, Romuald Kołodziejczyk, Henryk Cieślik i Alfons Schwider.

Gucio po kilku miesiącach aresztu dostał wyrok 10 lat więzienia. Renia przyszła do mnie na górę, aby mi o tym powiedzieć. Ta niezwykle twarda kobieta płakała przez dłuższy czas jak dziecko. Uspokajałem ją na różne sposoby, jak mogłem. Od czasu aresztowania Gucia Renia poszła do pracy, a chyba trzyletni Jurek uciekał do mnie na górę w strachu przed przedszkolem.

Marynarza pijaka i awanturnika uspokoił Bolek, zrównoważony i spokojny, kiedy został nazwany przez niego folksdojczem wyrżnął go z całą siłą dziesięcioboisty w zęby. Stało się to na pierwszym piętrze- marynarz zleciał po schodach aż na parter. Już więcej nas nie zaczepiał. Kiedyś będąc z żoną w Szczecinie nocowałem u Paszkudzkich w pokoju, w którym kiedyś mieszkał Bolek z Alkiem. W nocy wtoczył się pijany marynarz, wołając, że nie mogą tu przebywać ludzie niezameldowani. Wstałem i zapytałem czy mam tak zareagować jak Bolek Pachoł. Wytoczył się mamrocząc coś pod nosem. Był to już wrak człowieka.

Gucio wyszedł na wolność chyba po 2 czy 3 latach i nie zaprzestał swoich transakcji. Wiedząc, że pracuję w tym czasie na Podhalu prosił mnie o kupowanie dla niego dolarów. Miałem we wsi Podwilk przy granicy ze Słowacją człowieka, który je dla mnie zbierał, przeważnie kanadyjskie. Czasami posyłałem je włożone do książki, która nie miała jeszcze porozcinanych kartek, Skończyło się to, kiedy się ożeniłem. Renia przyjechała po odbiór obszernego perskiego dywanu- okazało się, że dała ten dywan Heńkowi na przechowanie obawiając się, że w wyroku Gucia może być konfiskata mienia. Heniek zawiózł go do Rabki do Ignacego Bartkowiaka i niewykluczone, że mu ten dywan sprzedał. Dobrze już tego nie pamiętam. Ignaca nie było w Rabce, gdy przyjechała Renia, musiałem go ściągać ze Śląska i po kilku dniach odwiozłem zapakowany dywan i Renię na dworzec kolejowy.

Tutaj do moich wspomnień „weszła nowa figura"- Ignacy Bartkowiak. A było to tak. Któregoś dnia, chyba w ostatnim roku studiów przyszedł do nas telegram, że Heniek Cieślik został ranny w katastrofie kolejowej i leży w szpitalu w Rawiczu. Pojechaliśmy tam z Alkiem natychmiast. Heniek nie był zbyt ciężko ranny, ale zostaliśmy przy nim kilka dni. Obok niego leżał, też poszkodowany w tej katastrofie, starszy ode mnie o 13 lat człowiek, znajomy Heńka, który towarzyszł mu w wyprawie do Szczecina. Ponieważ do niego nikt nie przyjechał zaopiekowaliśmy się także nim. Okazało się, że nazywa się Ignacy Bartkowiak, mieszka w Rydułtowach (k/Rybnika), gdzie prowadzi firmę zajmującą się sprzedażą desek, krokwi i innych tym podobnych akcesoriów z drewna potrzebnych w budownictwa. Ponieważ sprowadzał je z Podhala kupił również dom w Rabce-Zdroju, do którego nas zaprosił.

Dom okazał się przepiękną trzynasto pokojowa willą po profesorze Peretiatkowiczu, zaprojektowaną w najmodniejszym przedwojennym stylu Art-Deco przez jakiegoś b. znanego architekta, którego nazwisko wyleciało z pamięci. Potem, pracując, jako kier. placówki PKS Rabka Zdrój, w tej wilii mieszkałem najpierw sam, później z żoną. Tam urodził mi się mój pierwszy syn, a Ignac był ojcem chrzestnym mojej córki.

Ale to już należy do innego opowiadania, o mojej pracy zawodowej, które znajduje się na stronie internetowej: www.szczebressyn.pl

*** * ***

Wracamy do Szczecina. Teraz miałem nowe hobby- lekkoatletykę. Bolek każdego dnia rano wyruszał do pobliskiego Lasku Arkońskiego, na tzw. przebieżki. Było to truchtanie z momentami szybszego biegu, trochę skoków i sporo skłonów. Zacząłem mu coraz częściej w tym towarzyszyć. Bardzo mi się to podobało nawet w zimie, które w Szczecinie nie były ostre. Prawie każdym popołudniem trenował Pachoł na boisku sportowym lub zimą w hali. Szczególnie na wiosnę, latem i jesienią towarzyszyłem mu na tych treningach. Treningi miał bardzo ciężkie, bowiem uprawiał dziesięciobój, na który składało się 10 dyscyplin. Cztery biegowe 100 m, 400 m, 110 m przez płotki i 1500 m. Trzy skokowe: w dal, w wyż i skok o teczce, trzy rzutowe: oszczepem, dyskiem i pchnięcie kulą. Zapraszał mnie na treningi i zawody twierdząc, że bardzo mu pomagam wyłapując jego błędy w wielu technicznych konkurencjach np. rzutach i skokach. Dość powiedzieć, że np. w skoku o tyczce skoczek wykonuje w czasie około niecałych 2 sekund kilkanaście ruchów różnymi częściami ciała- trzeba było wytrenować ich automatyczną koordynację i eliminację poszczególnych błędów setkami powtórzeń. Przy pchnięciu kulą w charakterystycznym doskoku, n.p. najmniejsze przedwczesne wyprostowanie się wpływa na wynik. ltd. ltd. AZS w Szczecinie miał tylko jednego trenera- był nim Zygmunt Heliasz przedwojenny rekordzista Polski i świata w pchnięciu kulą, olimpijczyk z Berlina 1936 r. Nie mógł wiele czasu poświecić Pachołowi. Na dodatek nie żyli w przyjaźni, bowiem Pachoł był bardzo pryncypialny i każdemu, w tym i trenerowi, robił wymówki za stan, w jakim ten potrafił przychodził czasami na treningi.

Po treningu stoją od lewej: NN, Stanisław Klemens mistrz Szczecina w rzucie dyskiem, późniejszy pracownik Ministerstwa Komunikacji, Leon Sukiennik, Romuald Kołodziejczyk, Ireneusz Moszner, Edward Żujewicz mistrz Szczecina w biegu na 100 m, NN. Siedzą od lewej NN i Bolesław Pachoł mistrz Polski w dziesięcioboju.

Z czołówki brakuje Edmunda Potrzebowskiego wielokrotnego mistrza i rekordzisty Polski na dystansach 800 i 1500m, olimpijczyka olimpiady 1952 r. w

Helsinkach, oraz młodszego od nas Stefana Lewandowskiego także olimpijczyka z Helsinek w 1952 r. na dystansie 1.500 m.

Bolek był niezwykle uparty i pracowity, jeżeli postawił sobie jakiś cel musiał go wypracować. Kiedyś w młodości postanowił, że nauczy się gry na skrzypcach i nauczył się. Inna sprawa, jakie to było granie. Odwiedzałem go jeszcze wiele lat później, kiedy każdego roku bywałem na wczasach w Świnoujściu, zawsze wspominał jak mu pomagałem.

Ogromnie żałowałem, że Bolek nie poświęcił się karierze trenera. Po studiach na AWF miał dobrą propozycję pracy trenerskiej w Białymstoku- na przeszkodzie, jeśli się nie mylę, stanęła żona. Była siatkarka, architekt nie chciała wyjeżdżać ze Szczecina.

Zbliżał się koniec studiów. Na wydziale Transportu Śródlądowego napisałem i obroniłem pracę dyplomową pt. Kanał Odra- Dunaj. Byłaby to droga łącząca Bałtyk i całą bardzo liczną sieć kanałów zachodnie Europy, przez Wiedeń, Bratysławę, Budapeszt, Belgrad, Bukareszt z Morzem Czarnym. Wojna przekreśliła te plany, po wojnie „był ambaras żeby wielu chciało na raz".

Wprowadzono dla wszystkich absolwentów tzw. nakazy pracy. Miało to służyć równomiernemu rozmieszczeniu na cały kraj potrzebnych specjalistów. Jednocześnie wyliczono, że aby spłacić koszty wykształcenia każdy absolwent powinien przepracować trzy lata w przedsiębiorstwie czy instytucji, do której zostanie skierowany. Tak się miało bezpłatne wykształcenie w komunizmie.

W rozmowie z komisją można było wybrać sobie miejscowość i zakład pracy, choć nie zawsze, co mnie spotkało.

Zdecydowałem załatwić sobie pracę w dobrej firmie, a potem dostać do niej nakaz pracy. Podjąłem pracę w firmie „Spedrapid". Była to Czechosłowacka firma spedycyjna zajmująca się eksportem i importem czechosłowackich towarów przez port Szczeciński. Zatrudniono mnie, jako „ekspedienta portowego". Praca polegała na dysponowaniu załadunku towarów na statek z nabrzeża, lub rozładunku towarów ze statku do wagonów. Należało uzgodnić z pierwszym oficerem statku, odpowiedzialnym za ładunek, kolejność załadunku poszczególnych partii towarów, a przy rozładunku po uzgodnieniu kolejności zamówić wagony, dźwigi, ludzi (sztauerów) itp. A potem nadzorować wykonanie.

Była to dobra praca tym bardziej, że pracowałem przy towarach masowych, a nie drobnicy, z którą było nieraz wiele problemów. Jedynym mankamentem było to, że co drugą zmianę pracowało się w nocy. Była to praca dobrze opłacana. Na początek dostawałem tyle, ile zarabiali razem moi rodzice nauczyciele. Do dzisiaj pamiętam, że jedyny raz w życiu szyłem sobie dwa garnituru równocześnie. Zapamiętałem być może tylko dla tego, że później miałem ich sporo i nie potrzebowałem kupować od razu dwóch.

Po trzech zmianach przepracowanych razem z doświadczonym ekspedientem wysłano mnie do samodzielnej pracy i jeszcze nagadano mnóstwo komplementów. Praca była na początku zajmująca i wydaje mi się tak prosta, że w mig pojąłem, o co chodzi. Stąd nie wiem, za co mnie komplementowali. Byłem lepszy chyba w porównaniu z debilem, z którym byłem trzy razy na przyuczeniu i który patrzył tylko na to, aby na statku dali mu wódki. Potem praca stała się monotonna, zawsze podobna, trochę nudna.

Obsługiwałem nieraz nawet dwa statki na raz, ale można się było jeszcze przespać.

Niestety komisja przydziału nakazów pracy nie chciała przyjąć wniosku „Spedrapid" o skierowanie mnie do pracy u nich- nie pomogły nawet powoływania się na przyjaźń polsko- czechosłowacką. Przewodniczący komisji prof. Rutkowski powiedział, w jego przekonaniu dowcipnie, że długi pobyt nad morzem szkodzi zdrowiu.

Nie przyjąłem nakazu pracy i pojechałem do Rabki, do Ignaca Bartkowiaka. Był kawalerem i posiadał pieniądze. Trochę mu pomagałem, a w zasadzie prowadziliśmy dolce vita. Po ponad pół roku dostałem „zaproszenie" od prokuratora na rozmowę. Powiedział mi abym wziął nakaz pracy z uczelni, bo inaczej on da mi nakaz pracy do kompanii karnej w kopalni.

Pojechałem do Szczecina, gdzie do wyboru były już tylko trzy miejsca pracy: PKS Nowy Targ, PKS Nowy Sącz i PKP w Katowicach. Wybrałem PKS w Nowym Targu będący blisko Rabki i mieszkałam dalej u Ignaca.

„Wyliczanka" przebiegu mojej pracy zawodowej:

od 6.7.1953 r. PKS Nowy Targ, po pół roku kier. Placówki PKS w Rabce Zdroju.

od lipca 1956 do lipca 1958 prywatny zakład

od 1.8 1958 r. z-ca dyr. Oddziału PKS w Raciborzu.

Od 9.3 1961 r. dyr. Oddziału PKS Zamość (ponad 750 zatrudnionych, około 6 milionów pasażerów, 900.000 ton ładunków przewożonych rocznie w 5 powiatach Zamojszczyzny: Zamość, Biłgoraj, Tomaszów Lubelski, Hrubieszów i Krasnystaw).

od 1969 r. dyr. WZMD w Lublinie.

od 1973 r. w Warszawie. Najpierw krótko w Zjednoczeniu PKS, a później I-szy z-ca dyr. Generalnego- nadzorujący pion przewozowo-handlowy w Przedsiębiorstwie Międzynarodowym Przewozów Samochodowych PEKAES.

Od 1986 r. wg akredytacji: Przedstawiciel Polskiego Transportu Drogowego w ZSRR. Terenem mojego działania była Białoruś i Ukraina, a po 1991 r. także cześć Rosji od granicy z Białorusią do Smoleńska.

od 1997 r. emerytura.

Zawodowo los mi sprzyjał- rodzinnie tragiczny, pochowałem dwóch synów. Z żoną żyliśmy 60 lat w małżeństwie.

Nigdy nie ubiegałem się o nową pracę. Zawsze byłem awansowany i przenoszony służbowo. Dwa razy odmówiłem, pierwszy raz w 1965 r. propozycji awansu na z-cę dyr. białostockiego okręgu PKS, drugi raz w 1974 r. na dyr. Departamentu Komunikacji w Ministerstwie Komunikacji.

Nigdy tego nie żałowałem, nawet tej drugiej ponętnej propozycji, gdyż niebawem zająłem się przewozami towarów po całej Europie, Turcji, Iraku, Iranu I Kuwejtu. Wiązało się to z licznymi wyjazdami do tych krajów na oficjalne rozmowy międzyresortowe, jak i rozmowy handlowe z naszymi licznymi kontrahentami. A także niezmiernie pasjonującą pracę na Białorusi, Ukrainie i Rosji. W ciąg 11-letniej tam pracy przejechałem 340.000 kilometrów, spotykałem się z setkami ludzi poczynając od ministrów- kończąc na sprzątaczkach hotelowych i pijakach w restauracjach.

Poznałem nie tylko Ukrainę, Białoruś i Rosję (bywałem wielokrotnie w Moskwie, np. w 1979 r. siedem razy, jeden urlop spędziłem jeżdżąc po Syberii,

jeden na pograniczu Rosji i Gruzji), ale także mentalność Rosjan, Ukraińców i Białorusinów- jak my ich mało znamy. Stereotypy, płaskie stereotypy i nic więcej. Zazdrościłem Niemcom i Francuzom, którzy ich znają daleko lepiej- pierwsi pracowali u carów, jako generałowie i u dziedziców, jako zarządcy majątków, drudzy swoim językiem opanowali dwór cara i całą elitę carskiej Rosji.